№ 7. Warszawa, dnia 21 Lutego (31 Stycznia) 1898 roku. Rok XL.

# TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . : . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu 1 szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz 1 szpaltowy garmontu kop. 50.

## O zmierzchu.

Szaro dokoła mnie, deszcz zimny uderza o szyby.

Siedzę przy ogniu kominka, i staram się... nie myśleć o niczem. Ba, niby to tak łatwo!

Można myśleć źle, nielogicznie, ale nie myśleć — nie sposób! Myśli biedny człowiek w godzinach pracy, myśli w godzinach odpoczynku, nawet we śnie myśleć jeszcze musi. A w dodatku myśl — łódź tajemniczym wichrem pędzona nie dąży tam, gdzie wola twoja jej wskazuje; pędzi naoślep, nie wstrzymana ku przestrzeniom bezbrzeżnym, lub między skały i rafy podwodne. *Ha, „Polatuj myśli!"*

Na tle płomienia układać się zaczynają obrazy jakieś. Myśleć obrazami, to jedna z największych przyjemności, jakie istnieją na ziemi. Wierzcie, wy, którym nigdy w ten sposób myśleć nie dano.

Poczekajcie chwilę, zaraz wam powiem, co tam na tem płótnie ognistem powstało.

Kraj podzwrotnikowy jakiś, puszcza...

„Ogromna, cicha, obojętna, senna
Od spodu bagien swych oddechem biała,
Nakryta żarem, a głębią bezdenna..."

a na porębie jej gromadka jakaś w sukmanach, kapotach, płótniankach, fartuchach czerwonych... włosy lniane, a błękitne oczy...

„Pochwalony! A zkąd wy ludzie się tu wzięli?"

Nasłał mi ich twórczy duch Konopnickiej. *„Pan Balcer w Brazylii"* znacie to zapewne i wy czytelnicy?

Ot, widzę ich, jak nasłuchują, jak wyciągają ręce ku owej stronie, o której chodziły wieści, że tam już wcześniej lud polski się osiedlił, i krząta po swojemu.

„Że chłopy noszą krakowskie sukmany
Krakowskie bryki mają i ekonomia,
Że karczma tam jest, kościół i organy
Własny porządek od kąta do kąta,
Kancelarya, wójt, pisarz, ławniki,
Wieś jak się patrzy, nie taki świat dziki."

Widzę ich, jak czekają, czy ku nim od tej strony „choć wiatr nie powionie." I widzę tego Rocha Zatratę, co „nad innych gorzał w sobie," a w końcu „tak się urwała w nim owa tęsknota, jak chmura."

„Pójdę ja! Może tę wieś gdzie wytropię,
Bo mi wyraźnie dym zkądciś zalata,
Jak gdyby baby suszyły konopie...
Wyraźnie słyszę... cierlica kołata..
Chłop — od sieb! krzyka... cep wali po snopie
...Rżą źrebce, trzęzle dzwonią mosiężane...
Jezu! toć oni tu może o ścianę!

Z krzykiem się chwycił oburącz za głowę
I leciał z kuźni precz jak oszalały
Prosto przed siebie w te gąszcze borowe
Tylko mu poły płótnianki wiewały!"

Hej, będzie was więcej, zatraceńcy, goniący pod zwrotnikiem miraże oddalonej ziemi! Sto milionów przeznaczą znów na wywłaszczenie was z piastowych pieleszy. Pójdziecie, pójdziecie mrowie brazylijskie karmić ciałami waszemi, a tu...

Stój myśli! Dałam ci swobodę, ale trzeba ci wiedzieć, że dziś nawet konstytucyjne swobody... no, wolę o tem nie mówić. Jednem słowem, myśli moja, nie melancholizuj! Nie cierpię melancholii, nimfy długiej i płaczliwej, która z Polaka robiła Bajronistę jeszcze za czasów Słowackiego, a dziś zrobić zeń może Beaudelerzystę, co jest już o wiele trudniejszem do wymówienia, lub jakiego bardziej jeszcze konwulsyjnym spazmem wykrzywionego... istę.

Dziś, dziś! Wesolutko! Jak ma zwyczaj wołać jeden z najgłupszych wodzirejów, jacy istnieją pod słońcem. Przecież to karnawał!

Jak to dobrze jednak przypomnieć sobie o czemś w porę!

Poprawiam ogień na kominku, dorzucam drewek; jasny, wesoły płomień bucha, a na tle jego wirują w złotych, różowych, fijołkowych sukienkach urocze tancerki, kwiaty nocy balowych, upajające nasze kwiaty! *„Czy ja cię kocham — spytaj słowika* i t. d." melodyjny walc brzmi mi w uszach.

Ach jak *ona* wyglądała w tym walcu!

*Kto ona?* — pytasz czytelniku. Daruj, za mało się znamy. Później może zrobię ci jakie zwierzenia, dziś nie powiem nic więcej.

I ogień też już przygasać zaczyna, tancerki znikły; widzę tylko twarz jakąś bardzo przygnębioną, bardzo smutną, bladą, o dwóch tragicznych plamach zamiast oczu. Twarz ta należy do człowieka, ubranego bardzo poprawnie... frak... biały krawat... Któż to jest, ten pan? Przypomnieć sobie nie mogę.. do licha! no, któż to jest? Widziałem już przecież tę twarz... Ach, prawda, to grajek z ostatniego balu, wizya smutna na tle blasków i świateł...

W atmosferze wdzięku, wesołości, w atmosferze czaru, upojeń, sunie się widmo blade, żałosne, siada do fortepianu, i banalnymi dźwiękami jakiegoś tańca, urąga rozpaczliwej powadze swego istnienia.

Dalibóg, o tych grajkach raz pomówić z wami muszę otwarcie.

Szanowne czytelniczki, urocze tancerki, raczcie przypomnieć sobie, jak to na pensyi jeszcze drżały oburzeniem serduszka wasze, gdy ucząc się o indyjskim ustroju kastowym, wyobrażałyście sobie smutny los paryasa. Wzgardzony, odtrącony, budził współczucie.

Grajek, moje panie... Ale kto to jest grajek? To maszyna, którą za cenę 10 czy 15 rs. wprowadza się do sali balowej. Obowiązkiem jego jest grać silnie, równo, wytrwale grać przez noc całą gwoli zabawie waszej.

Osobnika tego nie przedstawia się towarzystwu, i nie umieszcza z gośćmi przy stole. Po skończonej kolacyi podaje mu się resztki—osobno.

W zgromadzeniu, w którem wszyscy zdają się być najserdeczniej usposobieni wzajemnie, do niego tylko żadna nie wyciąga się dłoń, do niego nikt nie zwraca się z rozmową. Wodzirej chyba tonem komendy huknie mu nad uchem: „panie, kończ pan piwo, i do mazura!

Gdzie my jesteśmy? W Indyach?

Ależ tak! Nie łudźmy się. Są u nas salony t. zw. postępowe, t. zw. demokratyczne, ale grajek zawsze i wszędzie jest paryasem.

Gwyszplain, *człowiek śmiechu*, jako nowinę oznajmił był niegdyś zgromadzonym lordom że „istnieje ród ludzki na świecie.” Ja, moje panie, wasz do usług „człowiek śmiechu,“ przychodzę oznajmić wam, że grajek jest człowiekiem.

Człowiek to w przeważnej liczbie wypadków podwójnie nieszczęśliwy, bo ubogi i kaleka.

Szczególne mam uprzedzenie. Oto zdaje mi się, że przed każdem nieszczęściem warto uchylić czapki, że każde cierpienie uczcić się godzi.

Naturalnie — nie mam słuszności. Bywają niedole brzydkie, niedole zasłużone; tym należy się jedynie przebaczenie i litość. Ale mój grajek? Czem zawinił, że karzecie go milczącą wzgardą, odtrąceniem, upokorzeniem?

Gorycz tego ostatniego ocenić mogą tylko ci, którzy mieli sposobność poznać smak jej choć raz w życiu. Nie tańczcie panie, nie oddajcie się radości i upojeniu, wtedy, gdy obok was istota ludzka cierpi, gdy w skrytości może łyka łzy bólu i upokorzenia.

Plamą w obyczajach naszych jest to obrażające godność ludzką obchodzenie się z podobnym nam człowiekiem.

Obowiązkiem jest kobiet zreformować ten zwyczaj, uczynić znośniejszą już z samej natury swojej bolesną rolę grajka, najboleśniejszą, gdy ją podejmuje kobieta, czasem młoda jak wy, moje panie, jak wy lubiąca szał taneczny, mająca równe z wami prawo do zabawy i wesołości.

Z rozmyślań wyrywa mnie śmiech, rozlegający się tuż za mną. To przyjaciel mój wpada z nowiną, że ktoś chce poprawiać... Mickiewicza.

Chwytam numer „Kuryera” i z zajęciem przeglądam artykuł p. Zagórskiego.

Nie, kolego, śmiech był za głośny.

P. Zagórski słuszną zwraca uwagę na niepoprawność świeższych edycyi Mickiewicza, na zmiany, jakim dzięki niedbalstwu korektorów podległ już w niektórych miejscach tekst arcydzieł wielkiego poety. Dodaje nadto, że przez zastosowanie odpowiedniej interpunkcyi, możnaby uczynić harmonijnymi niektóre ustępy, które z pewnością harmonijnie grały w duszy Mickiewicza, a dopiero przez zaniedbania drukarskie zostały popsute.

Zaznacza wprawdzie, że są w dziełach poety wiersze „niezadawalniające naszego rytmicznego poczucia” i które chcąc harmonijnymi uczynić, należałoby przerobić zupełnie.

„Tych oczywiście tykać nie należy — zastrzega jednak — któż bowiem poważyłby się poprawiać mistrza.” Ale są między nimi i takie, które „bez zmiany sensu, bez dodatku, lub ujęcia jednej zgłoski, skutkiem prostego przestawienia wyrazów można harmonijnymi uczynić.” Te autor artykułu radzi stanowczo *poprawić*. I przytacza kilka takich wierszy jak np.

„A koło mnie srebrzył się ‖ tu mech siwobrody“

Podług p. Z.

„A koło mnie się srebrzył ‖ tu mech siwobrody.”

Zgadzam się w zupełności z p. Z. że ostatni wiersz brzmi harmonijniej, ale nie zgadzam się na zdanie, że należy pierwszy poprawić.

Syn nie wygładza zmarszczek na zgrzybiałem obliczu ojca, bo ono mu tak pomarszczone miłem jest i ukochanem.

W uczuciu, jakie naród nasz żywi dla swojego wieszcza, jest wiele czci synowskiej— w poszanowaniu, jakie ma dla utworów jego jest lękliwość wierzącego, który obawia się dotknąć relikwii.

*X.*

---

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

# KĄDZIEL.

## POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Znał tylko towarzystwo kolegów, więc wobec kobiet porządnych był bojaźliwy, bał się z czem niestosownem wyrwać i rozmowy nie umiał prowadzić.

— Pan podobno jutro wyjeżdża? — zagadnęła panna.

— A tak. Bardzo mi pilno.

— A na święta pan przyjedzie?

— Chyba nie. Matka nie lubi, byśmy czas tracili. I słusznie, bo na tak krótko nie warto się zrywać. Zresztą psy mi wytruli latem, więc nie miałbym nawet polowania porządnego.

— Grubijanin i prostak! Niech sobie jedzie! — pomyślała panna Wanda, tracąc zupełnie ochotę do rozmowy.

W Rudzie dzień się zaczynał i kończył ze słońcem. Zaraz po wieczerzy pani Taida dała swej nowej pomocnicy książkę z przepisami, założoną na stronicy wędlin, i wyprawiła ją do snu.

Nazajutrz o świcie odjechał Kazio, pani Taida obeszła gumno i obory — i wróciła do domu.

— Gdzież panna Wanda? — spytała Hanny.

— Śpi! Ani się ruszy.

Pani Taida zajrzała do pokoju cioci Dysi, i skamieniała na progu. Nic nie było sprzątnięte, pokój był pełen po brzegi ubrań, rupieci — stół zastawiony, na łóżku nawet walały się części garderoby, z pod których ledwie widać było śpiącą.

Ocknęła się na skrzyp drzwi.

— Już ósma! — rzekła pani Taida surowo. — Ależ tu porządek! Jakże można znieść coś podobnego.

— Proszę pani! Tak byłam wczoraj zmęczona!

— Chcę wierzyć! Ale robota każda ma swój czas i nie powinna zalegać! Zlituj się— sprzątnij tu co rychlej, zanim służba przyjdzie! Wstyd!

I oburzona wyszła.

Panna Wanda wyskoczyła z łóżka—wprost do lustra, i poczęła zmartwiona oglądać wyrzuty z wiatru. To jej zajęło dość czasu, a że nie chciała gniewać powolnem ubieraniem pani domu, więc umyła się bardzo powierzchownie, nie przymierzała sukien, zdecydowała się na wczorajszą, bo była pod ręką, bardzo pospiesznie ufryzowała grzywkę, kosztem czesania, i rzuciła się do opróżniania mebli ze swych strojów.

Otworzyła szafę i komodę, i pełnemi garściami rzucała jedno z drugiem, byle nie było na widoku. Co się nie zmieściło wpakowała napowrót do kuferka, zamknęła i zadowolona ukazała się w jadalni.

— Wypijże herbatę, a potem oprowadzę cię wszędzie, i nauczę co będziesz miała do roboty. Od jutra klucze te przechodzą pod twój zarząd.

I pokazała pani Taida pęk kluczów, które całe życie nosiła ciocia Dysia.

— Jeśli czego nie umiesz, śmiało się przyznaj, a o to czego nie rozumiesz — pytaj.

— Będę się starała pani dogodzić! — obiecywała panna.

Oprowadziła ją tedy pani Taida po składach i śpiżarniach, po chlewach i kurnikach po mleczarni i kuchniach, pokazała cielęta, nauczyła kiedy je trzeba karmić, oddawała po kolei klucze od zapasów i domowych porządków.

Pannie Wandzie robiło się straszno, wobec takiej massy zajęć, ale nadrabiała miną, myśląc, że przecie nikt tak pedantycznie sam wszystkiego nie spełnia, i że jest dosyć służby, żeby się wyręczać.

Szczęściem nie powiedziała tego pani Taidzie, i wróciły do domu w przykładnej harmonii.

Przez parę dni było trochę opóźnień, bezładu, nieporozumień, ale po tygodniu porządek się ustalił, i pani Taida odetchnęła.

— Może się to jakoś utrze! — myślała, i zajęła się majątkowemi sprawami, które zaniedbywała od niejakiego czasu, nie mogąc wszystkiemu nadążyć.

Panna Wanda okazywała wielkie zajęcie i czynność. Od świtu była w ciągłym ruchu, i poza domem, i rzecz dziwna ze służbą nie miała zatargów, ani szły na nią plotki i skargi.

Co prawda, to pani Taida mało korzystała z jej towarzystwa, i nawet mało ją spotykała wśród dnia i w domu.

— To dobrze! Niech pracuje! — myślała.

Wieczorem panna Wanda bywała senna i wcześnie odchodziła do siebie. Wtedy pani Taida zamykała się w swej sypialni, czytała, pisała, modliła się, ale światła w domu były pogaszone i wszystko spoczywało.

Spoczywało ale pozornie. Panna Wanda czatowała tylko na chwilę zamknięcia drzwi sypialni, wtedy po cichu, przez garderobę,

gdzie stara Hanna już spała, wykradała się na swobodę i szła do oficyny, do ekonomów.

Przychodził tam pisarz kawaler, leśniczy, pani ekonomowa miała dwie córki, więc się zbierało towarzystwo. Grywano na gitarze, śpiewano *romansowe* pieśni, żartowano dość niewybrednie, honorując bardzo pannę Wandę. Ona zaś bez śpiewu, śmiechu i męzkiego towarzystwa żyć nie mogła, a wyboru nie miała.

Zebrania te przeciągały się do północy i dalej, o świcie zaś już budzono pannę Wandę do śpiżarni i piwnicy. Jakiś czas zrywała się półsennie, i jęcząc na ciężkie losy spełniała swe obowiązki. Potem zaczęła szukać wyjścia i ulgi. Klucz od śpiżarni zostawiała z wieczora kucharzowi, żeby jej nie budził, i sam brał, co mu potrzeba; klucz od piwnicy dostawała ekonomowa, a szafarka miała sobie oddane do rozporządzenia ziarno i ospę dla ptactwa i trzody. Urządzenie to podobało się służbie, więc nikt panny Wandy nie zdradzał, a gdy pani Taida wróciła z gumna i pola na ranną herbatę, już zastawała swą pomocnicę, krzątającą się w jadalni.

I było niby wszystko w porządku.

Czasami tylko miewała panna Wanda złe chwile. Było to przy obrachunkach produktów spożywczych, raz na miesiąc, i przy rachunkach mleka raz na tydzień.

Pani Taida narzekała na wielki rozchód śpiżarni i prowentu, a na małą ilość garncy mleka.

— Jakto dwa pudy cukru i trzy funty herbaty! To niemożebne! I pszennej mąki korzec! Na co? Nie pozwalajże na takie ekspensa! Przecie sama wydajesz!

— Sama, proszę pani, i codzień się z kucharzem kłócę!

— Dlaczegóż znowu mleko spadło o trzydzieści garncy w tym tygodniu. Powinnaś choć raz na dzień być przy doju.

— Jestem dwa razy, ale krowy źle jedzą i...

— Źle jedzą. To ja wiem! Jest niedozór i basta.

I zamykała pani Taida księgę z westchnieniem, bo czuła, że jest źle, a wydołać wszystkiemu nie mogła.

Panna Wanda po takiej scenie, płakała i skarżyła się przed ekonomową, narzekając na wyzysk straszny pani domu, a powiernica żale te przyjmowała z głębokiem współczuciem.

Szpitalik cioci Dysi poszedł w zapomnienie i upadek. Po tyfusie izby wykarbolowano i zamknięto, bo panna Wanda nie miała czasu ani pojęcia jak się zająć chorymi. Brzydziła się okropnie ranami, mdlała na widok krwi, a bała się zarazy gorączek i wysypek. Stancyjki białe i czyste, wycackane przez ciocię Dysię, stały się składem wilgoci, pajęczyn i kurzu, a i pamięć o nich by zginęła, żeby nie stara dozorczyni—cioci Dysi prawa ręka.

Przyszła ona pewnego dnia do pani Taidy.

— Proszę pani — rzekła oburzona — ekonomowa kazała mi oddać klucz od szpitala. Chce tam postawić swoje warzywa. A toć nieboszczka w grobie się obróci, jak się o tem dowie!

— Co ty pleciesz! Kto ekonomowej pozwolił?

— A panna Wanda!

Zarządziła pani Taida śledztwo. Wyparła się panna Wanda, wyparła ekonomowa i szpital został uratowany. Stara dozorczyni, która obok mieszkała, przysięgała, że co nocy ciocia Dysia chodziła po tych stancyjkach. Gadka ta poszła po dworze i już nikt się o te izby nie pokusił. Ale te bajki wystraszyły pannę Wandę. Z wieczorków bała się wracać sama do domu. Weszło w zwyczaj, że ją pisarz do drzwi musiał odprowadzać.

I tak minęła zima — nadeszła Wielkanoc, wiosna, z całą massą robót rolnej kampanii. Pani Taida była gościem w domu, zdała cały zarząd wewnętrzny w ręce panny Wandy, mało wglądając w szczegóły, przez długie lata przywykła do rządów cioci Dysi.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

---

# Zagrożona fundacya.

Podawaliśmy w swoim czasie wiadomość o kursach imienia Baranieckiego w Krakowie, i staraliśmy się wykazać ich znaczenie dla sprawy wyższego wykształcenia kobiety. Obecnie, po kilku latach istnienia, pomimo stwierdzonego pożytku tego zawiązku instytucyi, tak wiele pozwalającej wróżyć na przyszłość, słyszymy o jakiejś na widoku jej reorganizacyi — jakiemś zlaniu się z istniejącem szkolnictwem miejscowem, a iżby się wyrazić jak należy—o zwinięciu kursów, boć nie o co innego, a oto właśnie chodzi, jak ze sprawozdania naszego, opartego na dowodach dostarczonych nam przez osoby zupełnie wiarogodne, przekonać się będą mogli czytelnicy.

Aby zrozumieć jakim sposobem do tego przyszło, musimy w krótkich słowach streścić zarys kobiecej oświaty w Galicyi.

Do roku 1895 szkolnictwo żeńskie obejmowało:

a) 4 klasy ludowe, b) 4 klasy t. zw. wydziałowe, ustanowione tylko dla miast większych, a zatem i dla Krakowa, która to szkoła istnieje tu pod wezwaniem św. Scholastyki.

Ponieważ rada miejska krakowska uznała najsłuszniej zresztą, że dwa te typy szkół nie wystarczają wcale dla potrzeb intelligencyi miejscowej, dodała przeto kosztem własnym do tej szkoły wydziałowej kurs dopełniający dwuletni, w którym wykładane są: 1) historya literatury polskiej, niemieckiej i francuzkiej i wiadomości niezbędne z literatury powszechnej, 2) geografia, 3) historya polska, 4) historya nowszych czasów, 5) historya sztuk pięknych 6) rysunek i nauka o stylach, 7) pedagogia, dydaktyka i hygiena, o ile te są potrzebne przyszłej matce do wychowania własnych dzieci.

Tak przedstawia się zakres średniego wykształcenia kobiecego w Galicyi po miastach większych. Widzimy, że nie bardzo bogato, jak na potrzeby takiego naprzykład stutysięcznego miasta jakiem jest Kraków.

Można powiedzieć, że *stosunkowo* zakres oświaty dla prowincyi objęty ustawą r. 1895 wygląda pomyślnie. Powiedziano tam w § 7 że we wszystkich miastach, miasteczkach, osadach, a nawet wioskach, zakładane bywają szkoły wydziałowe 3 klasowe, jeśli w ostatniej klasie szkoły ludowej było więcej niż 30 uczennic. Prowincya tedy zyskuje na ustawie z roku 1895; przyjrzyjmy się natomiast, jak wychodzi na tej reformie Kraków.

Kraków i Lwów tracą stanowczo. Tracą, bo zamiast czteroklasowej szkoły wydziałowej dostają trzyklasową szkołę nowego typu, którą nadto będą musiały te miasta w myśl ustawy utrzymać z funduszów miejskich. Wprawdzie ustawa przewiduje, że miasta większe na tej trzyklasowej nie poprzestaną, i dlatego zezwala odrazu na założenie 3 klas wyższych, kosztem miast rozumie się, przez co wydatki miejskie wzrosnąćby musiały, a jednocześnie zakres nauk uledz obniżeniu. Tak to byłoby istotnie, bo dotąd miasto łożyło tylko na 2 lata kursów dopełniających, obecnie pokrywać by musiało wydatki lat 6-ciu, z tą na niekorzyść wzmianką, że kurs trzyletni wyższy nie obejmuje całego zakresu dawnych dwuletnich kursów dopełniających.

Obecnie zaprojektował dr. Kasparek radzie miejskiej jeszcze w Lipcu ubiegłego roku, aby ze względów oszczędnościowych i innych zapewne także, znieść owe dwuletnie kursa dopełniające, a kursa imienia Baranieckiego połączyć ze szkołą wydziałową św. Scholastyki.

Przeciwko wnioskowi zaprotestowali energicznie radca Rotter, prof. Bujwid, i ta wogóle cała część rady miasta Krakowa, która zrozumiała doniosłość ujemnych następstw podobnej reformy. Jakoż do oczu się rzucają szkody, wynikające z tej zmiany. Szkoła wydziałowa jest szkołą początkową, uczęszczają do niej dzieci poczynając od lat 10 ciu wieku; ten zatem, kto chce z nią łączyć kursa wyższe, takie jak instytucya imienia Baranieckiego, ten pewnym być może, że zamiast zagwarantować temu zaczątkowi dalszy pożądany rozwój, jak to było intencyą fundatora, skazuje go odrazu na obniżenie faktyczne, i na obniżenie jego poziomu w mniemaniu ogółu. Statuta szkoły wydziałowej mówią o obowiązkowem uczęszczaniu uczennic na wszystkie wykłady, podczas gdy na kursach Baranieckiego wolno jest zapisywać się na niektóre tylko przedmioty, a nawet na pojedyncze godziny. Ustawa szkoły wydziałowej mówi wyraźnie w paragrafie IX że oprócz uczennic stałych nikt nie ma prawa uczęszczania na wykłady, podczas gdy z kursów Baranieckiego korzystały osoby dorosłe, a między niemi wiele nauczycielek, nawet matek rodziny, a to leżało również w założeniu tej instytucyi. Zmieniłyby też one i zkądinąd charakter swój zupełnie, przez wciągnięcie ich pod ścisłą kontrolę kierunku, któremu nie sprzyjają dobrze myślący, i obowiązkową gościnność Krakowa lepiej pojmujący jego mieszkańcy.

Uczciwie biorąc rzeczy nie należy krzywić myśli założyciela w żadnym kierunku. Nie wolno obniżać kursów Baranieckiego do poziomu szkolarstwa — nie wolno też uważać ich posłannictwa za ukończone z chwilą, kiedy podwoje wszechnicy otwierają się niby w Krakowie dla kobiety. Przedewszystkiem

wszechnica ta przyjmuje, jak wiadomo, na prawach zupełnie wyjątkowych, robi wstęp zależnym od woli — nieledwie że od kaprysu każdego z profesorów, a zresztą uniwersytet przyjmuje tylko poddane miejscowe, a kursa Baranieckiego nietylko tego zastrzeżenia nie robią, ale mają zadanie prawie że wprost przeciwne. Trzeba jeszcze zrobić jedno, bodaj-że najważniejsze, bo zasadnicze rozróżnienie. Kobieta wstępująca na uniwersytet, obiera sobie specyalność naukową, w której pragnie się udoskonalić; poświęca na ten cel lata i środki, podczas gdy te kursa, na których istnienie tyle nieprzyjaznych czyha żywiołów, mają zadanie ułatwiać kobiecie nabycie wiadomości wyższych, niż te, jakie dać może szkoła, nie robiąc z niej specyalistki w jakiejkolwiek gałęzi wiedzy—innemi słowy mają rozszerzyć widnokrąg intellektualny przyszłej nauczycielki, przyszłej żony i matki, przyszłej obywatelki swego kraju. O to też walczy dzisiaj cały zastęp kobiet rozumnych i uczciwych, wyrzekających się feminizmu i jego ostateczności nie dlatego z pewnością, żeby się przerzucić do obskurantyzmu niezgodnego z duchem czasu.

Ktoby chciał ocenić ujemne następstwa mogące wyniknąć z połączenia kursów Baranieckiego ze szkołą wydziałową, niechaj się przyjrzy niektórym artykułom ustawy tych szkół, a przekona się z jakich założeń wyszli autorowie projektu Oto weźmy naprzykład chemię i zobaczmy jakie nadano jej tam przeznaczenie: z chemii — powiada paragraf poznać mają uczennice najważniejsze pierwiastki, związki i przeobrażenia chemiczne, *takie zwłaszcza, które mieć mogą zastosowanie w przyszłem życiu* (o włos że nie wzięliśmy tego w innem jeszcze znaczeniu) *praktycznem kobiety* i *gospodarstwie domowem* (1 godzina tygodniowo w klassie III). Dlaczegóż nazywać to chemią, kiedy to będzie zbiór przepisów kuchennych, związków chemicznych, które ułatwiają szorowanie naczyń i podłóg, wreszcie może jakie tajniki rozróżniania artykułów spożywczych zdrowych od zepsutych. To są nocye bardzo potrzebne, ale nie idzie zatem jeszcze, żeby gwoli zamydlania oczu ludzkich należało nazywać je chemią.

Nie lepiej wcale wygląda intrukcya dla kursu fizyki. Znowu mowa tam o najważniejszych wiadomościach — o ruchu, sile ciężkości, stanach skupienia, ale zawsze *w zastosowaniu do życia codziennego*, i *gospodarstwa domowego*. To będzie prawie że ta sama racya fizyka, o której mówi nasze dosyć pospolite przysłowie mazowieckie, lub coś podobnego, ale w żadnym razie nie będzie ta fizyka środkiem rozwoju umysłowego, objaśnieniem zjawisk, i rozszerzeniem zakresu wiedzy.

Bodaj-że najpocieszniej chyba wyszła w tej ustawie geometrya. O tej znowu wyraża się instrukcya szkoły wydziałowej tak: geometrya—znajomość form geometrycznych, pomiar powierzchni i brył, kopjowanie figur geemetrycznych *ze szczególnem uwzględnieniem robót kobiecych.* Można sobie tedy wystawić, w coby się obróciła myśl założyciela, gdyby do tego typu szkoły przyszyć kto chciał instytucyę tak znakomicie obmyśloną, gdyby przekazał tam zbiory, którymi ją zaopatrzono. A w bardzo krótkim czasie może się to wszystko spełnić, co zagraża dotąd tylko, bo w radzie miejskiej wchodzi na stół powtórnie i ostatecznie sprawa kursów Baranieckiego, i jeśli się nie znajdzie obrony dość energicznej, stanie się to, czego się ludzie dobrej woli z wszelką słusznością lękają. Krakowskie wstecznictwo ma swoją dobrze zasłużoną sławę, ale tym razem stałaby się krzywda nietylko Krakowowi jednemu.

*K.*

---

# Nasza t. zw. satyra.

W kronice „Wieku" znajdujemy taki ustęp: „Kto w „Tygodniku Illustrowanym" śledzi romans Zbyszka i Danusi w „Krzyżakach" Sienkiewicza, spostrzegł niezawodnie ze zdziwieniem, że autor posługuje się znów ulubionym przez siebie rodzajem intrygi, pozwalając się już dzisiaj domyślać, że Krzyżacy porwą Danusię, że Zbyszko szukać jej będzie, że jednem słowem rozegra się znowu coś w rodzaju pogoni Skrzetuskiego za Heleną, lub Winicyusza za Lygią. To kopjowanie samego siebie w romansach historycznych Sienkiewicza, to rozłączanie kochanków i szukanie się tychże wśród tysiącznych awantur, *to podobieństwo (!!!) do Cooperowskich powieści* osnutych na tle bojów z Indyanami w dziewiczych lasach i preryach Ameryki, nastręczyło dowcipnym kronikarzom „Życia" krakowskiego, tematu do satyry następującej:

Ratujcie Danusię!

Danusię Jurandównę narzeczoną Zbyszkowi, kakoć jej nie żałować niebogiej, kiej się niemcy zmamrali, jakoby ją porwać. Oj głupi Zbyszku! Krzepota cię chwyciła tak i niczego nie zdolesz wymiarkować. Ale my już wiemy czem to pachnie. Patrz cierpiałku! Oto tam Bohun uwozi Helenę, aż się koń pod nim rozpiera, tam trochę na lewo pędzi Azya i trzyma Basię Wołodyjowską w ramionach, tu znowu książę Bogusław dybie na Oleńkę, a tymczasem Neron już porwał Lygię, zamknął i schował klucz do kieszeni. Nie minie to i ciebie, rycerzyku Boży, a na pocieszenie wiedz że taki synu, Danusię swoją mieć będziesz, bo taką jest Imci Pana Sienkiewicza metoda scribendi, która się zowie indyańską."

Powiedzcież teraz czytelnicy, czy pozbawione są podstawy częste nasze nawoływania do krytycznej oceny tego co wam przynosi piśmiennictwo peryodyczne dni naszych?

Rozważyć chciejcie sami, czy zbyt surowo sądzi chwilę obecną ten, kto powiada, że jest ona chwilą szczególnego nieposzanowania względów, należnych zarówno idei, jak jej przedstawicielom — że jest ona momentem rozmyślnego obniżania wszystkiego, co przerasta tuzinkową powszedniość aktualnego bytu naszego?

Od obowiązku powtórzenia wam kilkunastu wierszy krakowskiego trefnisia, czulibyśmy się wolni zupełnie, i z pewnością po litościwem ruszeniu ramion, i gorzkim uśmiechu dla studenckiej swawoli słowa, zapomnielibyśmy o fakcie samym rychło bardzo. Skoro jednak że wybryk taki odnajduje się w naszej prasie wraz ze słowami uznania, a nadewszystko wraz z komentarzem usprawiedliwiającym go rzecz nabierać zaczyna odmiennego znaczenia, a milczenie wydaje się nie na miejscu.

Zdawało się, że po tak licznych próbach przedsiębranych ongi przez krytykę gwoli obniżenia w opinii ogółu pomnikowej trylogii, a po niej wszystkiego, co wyszło z pod tego samego pióra przycichło zupełnie. Zdawało się, że przebrzmiewające bez echa bezsilne gniewy, wśród jednozgodnego chórału entuzyastycznych uwielbień ze strony swoich i obcych, powinny były wykazać raz na zawsze tej krytyce jej nicość i bezskuteczność. Toż nam ta wrzawa cała wytrwale prowadzonej w swoim czasie kampanii, przytomna jest jak gdyby wczoraj dopiero się skończyła.

Wszak nie było niezdarnej analogii, którąby się nie posłużono dla przekonania opinii, że autor zapożycza się ustawicznie u kogoś pomysłem i środkami przeprowadzenia powieściowej akcyi — wszak wysilano się aby wmówić w powszechność czytającą, że napięcie tragiczne wydarzeń jest przeciągnięte, że postacie wielkich działaczy epoki przeidealizowane, że to wszystko było nie tak, że ludzie byli mniejsi, najazd nie taki groźny, ofiarność i bohaterstwa obrońców przecenione o wiele, że jednem słowem i tatar i kozaczczyzna, i szwed późniejszy, tak jak pewnego popołudnia przyszli tu na przechadzkę, tak pewnego znowu poranka odeszli sobie nie zrządziwszy krzywd osobliwych, nie spotkawszy bohaterskiego oporu, nie pozostawiwszy poza sobą strumieni krwi, poświęceń niesłychanych, i ofiar wielkodusznych.

A ta studencka prawdziwie zawziętość w wyciąganiu najniedorzeczniejszych porównań, ta najbardziej nieudana z nieudanych chętka wyprowadzenia czterech przyjaciół bohaterów naszego wielkiego powieściowego cyklu od muszkieterów Dumasowskich? Wszak, jeśli o prawdę i sprawiedliwość chodzi, toż przecie przyzna każdy, komu namiętność resztek zdrowego sądu nie odebrała, że doszukiwać się zbliżenia między rycerzem-obywatelem a kondotierem i poszukiwaczem przygód, może tylko niedołęztwo albo zła wola całkowicie wyjątkowa, a w danym wypadku niepojęta nawet zupełnie. Tak oni są podobni do tamtych, ci trzej rycerze krzyża, jak podobnym jest niepozbawiony bądź co bądź i szlachetniejszych natchnień szaławiła i warchoł typowy, jakim jest Zagłoba, do typowego oszusta i złodzieja szerokich gościńców, jakim jest Szekspirowski Falstaff, a przecież i tego podobieństwa nie oszczędziła nam nędza naszej, korsarskiego autoramentu krytyki dzienkarskiej.

Miejsca nie starczyłoby nam na przypominanie czytelnikowi wszystkich niedołężnych zamachów, jakimi usiłowała w swoim czasie krytyka zemścić się na autorze wzamian za przysporzenie przez niego literaturze ojczystej arcydzieła, któremu równego w swoim rodzaju nie posiadała ta literatura dotąd, przyznać należy. To też bez tego klucza, który podajemy na początku samym uwag naszych, a który nam genezę tej manii, tego prawdziwego opętania odrazu zrozumiałą czyni, trudno byłoby ją sobie wytłómaczyć w jakikolwiek sposób zgodny z logiką.

Tak jest! To człowiek mały, to kaleka duchowy, mści się za to, że mu fata morgana przeszłości skinieniem wielkiego czarodzieja słowa wywołane, kalectwo jego i nicość w tak jaskrawem przeciwieństwie ukazują. To jest bolesne do powiedzenia, ale to z pewnością tak jest, jak mówimy. Zezowaty Quasimodo żółciową śliną wala obraz, który go wdziękiem postaci ludzkiej upokarza.

Gdyby nie to źródło, mętne co prawda nadzwyczajnie, przecież musiałby zdrowy rozsądek przypomnieć każdemu z uczestników tej po dziś dzień nieustającej naganki, że w chwilach wielkich dziejowych przesileń i katastrof, społeczność potężna, kulturna wysoce jak na epokę swoją, bujną niesłychanie, zmieniając nagle byt normalny na rodzaj obozowego koczowania, musiała wychodzić z powszedniości, że tam żywoty ludzkie nie toczyły się wtedy na podobieństwo cichych ruczai—że owszem, wszystko w chwilach takich musiało być niezwykłem i nadzwyczajnem. Co łatwiejszego naprzykład do wiary, jak rapt kobiety w dniach pogromu przez siłę nie krępującą się żadnymi skrupułami? Co prostszego nadto, że gdy się mówi o miłości, jakiej mogła być przedmiotem kobieta taka, przypuszczamy żądzę odwetu, ze strony mężczyzny, a ofiarności i poświęcenia się jego jako czynnika koniecznego tej odwetowej akcyi? Że się akcya podobna nie mogła rozgrywać wówczas między lożą teatralną a gabinetem restauracyjnym, jak to ma miejsce za naszych czasów, powinien wyrozumieć każdy, ale zkąd w takim razie prawo do sądzenia o tamtych ludziach i wypadkach — tym zwłaszcza z pomiędzy nas, którzyznają tylko te loże i te gabinety.

A jeżeli idzie o sprawiedliwość, to skoro jednym nigdy dosyć tych histerycznych aktorzyc i tej pornografii, i całego plugastwa współczesnego, to dlaczego nie pozwalają oni innym na poszukiwanie wrażeń w sferze uczuć i pojęć wprost tym przeciwnych. Nie koniecznie też wolno rzucać kamieniem na tego, który okno zaduszonej izby na rozcież otwiera, aby się ci, których tam zawarto wbrew ich woli, do szczętu nie podusili.

Preryе amerykańskie, Cooperowskie powieści, dziewicze lasy Ameryki, walki Indyan — i cóż jeszcze więcej?

Si tacuisses, philosophus esses. Oto odpowiedź jedyna, jaką dać można wszystkim wesołym kronikarzom, ilu ich jest tylko, i przyjaciołom ich humorystom ciemnej gwiazdy.

Słówko jeszcze wyjaśnienia na końcu tej przykrej odprawy, do której oby nas nigdy więcej nie zmuszały okoliczności.

Faktem jest, że tak się zachowywać względem swoich znakomitych ludzi i ich dzieł, jak się zachowywać niekiedy potrafimy my, nie umie żadna inna społeczność. To, co powiedzieliśmy dzisiaj, nie jest broń Boże żadną z naszej strony obroną, bo autor, którego ta nędza jakaś, nieznana nam zblizka ani zdaleka, zaczepić się stara, nadto stoi wysoko, aby go takie głosy dochodzić, a tembardziej obchodzić mogły. Tu nie idzie o niego — tu idzie o nas. O nas wobec swoich i obcych — nadewszytko obcych. Jak my wyglądamy z naszem głupiutkiem szyderstwem, wtedy, gdy sobie obce literatury naszego genialnego pisarza przyswajają, a przyswoiwszy podziwiają? Jak wyglądamy—powiedzcie czytelnicy?

My sobie powiadamy, że to jest taka *metoda scribendi*, która się zowie *indyańską*, a nam z pewnością powiedzą ci, którzy kiedyś przyjdą po nas, że taka *metoda procedendi*, jaką przyjęliśmy od pewnego czasu we wszelkich poważniejszych sprawach, i jakiej w danym wypadku złożyliśmy wymowną próbkę, zwie się *żakowską*, godną żeby się nią popisywały uczniaki szkolne. A jak ją nazwać wtedy, gdy jej od żaków zapożyczają ludzie dojrzali, to już wolimy przemilczeć pomimo dojmującego wrażenia, pod jakim nas ta ostatnia zuchwała niedorzeczność zostawiła. Zresztą roboty tej nie liczymy do bezowocnych. Owszem, w połączeniu z paru innemi, będzie ona mieć i następstwa swoje.

*A. S.*

---

# PAN STACHURSKI.

## OBRAZEK WSPÓŁCZESNY.

Od czasu jak Siennicki kupił majątek w Pińczowskiem, nie byłem jeszcze u niego. Nie dlatego, żebym nie lubił moich kuzynów, wcale nie. Siennicki jest najpoczciwszym szlachcicem, jakiego znam i byłby niesłychanie miłym kompanem, gdyby nie ta zabójcza namiętność do winta. Na wsi partya nie często się zdarza, więc skoro się już raz gość trafi w tym domu, zielony stolik od rana stoi otwarty w gabinecie, karty rozłożone, a Siennicki spogląda takim błagającym wzrokiem, że mu odmówić trudno.

Osoba mojej kuzynki znowu przedstawia dla mnie innego rodzaju niebezpieczeństwo — lubi ona mówić o sztuce i literaturze. Boże drogi! Taka zacna kobieta, dobra żona, jeszcze lepsza matka, gospodyni po prostu nadzwyczajna, niechajże jednak znajdzie się na ka napie w salonie, szczególniej wobec kogoś z Warszawy, natychmiast rozpoczyna intelligentną rozmowę o książkach i teatrze. Z zapałem opowiada wrażenia swoje z ostatnio czytanych romansów, a przepada za powieścią angielską i Ohnetem...

Ale w tym roku nie miałem wyboru. Pod czas wiosennych wyścigów spłukałem się w pokera, i kapitał przeznaczony na wyjazd za granicę ulokowałem w resursie. Przytem Siennicki napisał mi list tak serdeczny, że mię wzruszył. Tylko na wsi można zachować taką świeżość uczuć! Ot, taki Siennicki naprzykład, widział mię w życiu może dwadzieścia razy, a jednak dlatego, że jestem jego stryjecznym, czuje się do mnie przywiązanym. I to zupełnie szczerze — jestem pewny! Mam przyjaciół w Warszawie, z którymi spędzam codziennie wiele czasu; łączy mię z nimi wspólność pracy, pojęć, zabaw, mimo to jestem przekonany, że w razie potrzeby nie mógłbym na nich tak liczyć, jak na Siennickiego. My bo jesteśmy przyzwyczajeni drwić sobie ze wszystkiego, trzeba wszakże przyznać, że takie poszanowanie węzłów rodzinnych ma dużo dobrego...

No, i znalazłem się w tym Rakowcu. Przyjechałem po południu, a kiedym się umył i przebrał, mrok już zapadać zaczynał. Wrześniowy wieczór był wyjątkowo ciepły, więc kolacyę podano na werendzie.

Choć ja jeden tylko byłem gościem, do kolacyi zasiadło z piętnaście osób. Do trojga dzieci są dwie guwernantki i nauczyciel, prócz tego rządca jeden, drugi z folwarku, jakaś ciocia pani Emilii z córką, stary nasz krewny Bagurski, o którym myślałem, że już dawno nie żyje... A wszyscy cieszą się, żem przyjechał, patrzą we mnie jak w obraz. Tutaj taki pan, który pisze w gazetach i parę tomów wydał, wzbudza głęboki szacunek. Złota prowincya!

Co za kolacya! Raki, kurczęta, nieodzowna przy wiejskiej uroczystości polędwica, jakaś sążnista legumina, a potem pyszne owoce prosto z drzewa, węgierki skąpane jeszcze w niebieskawym puchu.. A inscenizacya! Zupełnie jak w operze. Gęste kępy drzew rysują się w mroku tajemniczo, ciemny szafir nieba lśni złotemi punktami gwiazd, wokół nieskończony spokój, milczenie. W tej ciszy wiejskiej jest dziwna muzyka, jednostajna a melodyjna, która bierze...

Ale moja kuzynka już przy rakach każe mi mówić o ostatnich powieściach i najnowszych dramatach. A tam przez oświetlone okna widzę kwadrat zielonego sukna i dwie talie kart, wdzięcznie rzucone... Tę piękną, cichą wieś gotowi mi zepsuć najpoczciwsi ludzie. Na domiar złego okazuje się, że ciocia pani Emilii gra także w winta — Bogurski zęby zjadł przy kartach...

— Możemy już od rana mieć partyjkę — pociesza mię Siennicki — i aż mu jego wytrzeszczone oczy błyszczą z radości.

— Ty bo tylko myślisz o kartach — przerywa z wyraźną niechęcią pani Emilia. — Dzień i noc siedziałby przy stoliku! Ja sobie obiecuję z kuzynem długie miłe rozmowy... A propos, czytałeś „La dame en gris” Ohneta?

— Nie—opowiadam przygnębiony.

— To dziwne, że wy literaci nie czytujecie takich znakomitych utworów. Muszę ci opowiedzieć treść—ciekawam, co powiesz.

Źle! Trzeba coś wymyśleć, inaczej przyjdzie zabierać manatki i umykać... Tylko polowanie może mię uratować! Polowanie! Cały dzień na powietrzu wśród szerokich pól, łąk i lasów, daleko od zielonego stolika i rozmów o literaturze.

— Jeśli myślisz, kochany Józiu, mówię do Siennickiego, że ja tu przyjechałem na dłuższy czas dla twoich pięknych oczu, to mylisz się grubo.

Kuzyn mój uśmiecha się poczciwie, a jego siwe oczy mówią: gadaj sobie zdrów, ja wiem, że dla mnie. Ale w tej chwili spostrzegam, że pani Emilia przybrała wyraz twarzy smętny, trochę zawstydzony, i spieszę dodać.

— Moja ostatnia namiętność — to myśliwstwo. O niczem innem nie marzę. I przedewszystkiem powiedz mi, kochany kuzynie, jak się przedstawia twoje polowanie.

— Szczerze mówiąc, odpowiada Siennicki, to ja sam dobrze nie wiem. Wiesz, ja nie jestem myśliwy. Naprzód — nie mam żyłki,

a potem, dodaje poważnie, my tu na wsi czasu nie mamy...

I mówiąc to ma niepoczciwy taką minę, jak gdyby święcie wierzył własnym słowom! Nie ma czasu, on, który wstaje o dziesiątej, a potem przez godzinę pije kawę i czyta „Kuryera.” Jeśli pójdzie przed południem na chwilę do gumna, to głównie, żeby nabrać lepszego apetytu. Po obiedzie mała dwugodzinna drzemka, po której zwykle wypada jechać w sąsiedztwo, jeśli ktoś z bliższych nie uprzedzi. Jeżeli zaś nie jedzie nigdzie, a w domu nie ma porządnego winta, kłóci się on przy partyi pikiety z Bagurskim. .

— Prawda! — zaczyna po chwili namysłu Siennicki. Jeśli chcesz polować, to najlepiej objaśni cię i poprowadzi Stachurski.

— Stachurski?

— Naturalnie, nasz jeneralny dostawca zwierzyny. Nie znasz go? Zapomniałem, że ty tu jeszcze nie byłeś nigdy. Bardzo ciekawy typ; odziedziczyłem go w spadku po dawnym właścicielu Rakowca. A jak szelma strzela!...

— Cóż to za jeden?

— No, właściwie kłusownik. .

— Ładne tu musi być w takim razie polowanie, robię wzgardliwą uwagę.

— Daj pokój, Stachurski mówi, że jest dużo zwierzyny. On sam przez cały rok dostarcza i zajęcy i kuropatw. Każę mu przyjść. Panie Ratajewicz, zwraca się do rządcy, poszlij pan jeszcze dzisiaj do Stachurskiego, żeby się stawił we dworze jutro około południa.

— O szóstej zrana, poprawiam.

— Człowieku! — spogląda na mnie z politowaniem Siennicki — dla głupich zajęcy chcesz się zrywać o świcie! Ależ w takim razie mamy zaledwie czas na trzy tury winta. Więc zaczynajmy. .

* * *

I oto pierwsze polowanie, zawarcie znajomości z panem Stachurskim. Ranek wrześniowy, chłodny lecz pogodny, na wschodzie czerwona kula słońca cięży wśród jasnego błękitu nieba nad ziemią. Powietrze dziwnie przezroczyste i świeże. Wychodzę na ganek i spostrzegam wysokiego mężczyznę, który spokojnie przechadza się przy stopniach werendy. W pierwszej chwili, przedewszystkiem uderza mię jego nadmierna chudość. Wydłużony korpus wydaje się zupełnie pozbawionym ciała, właściwie to kości powleczone skórą. Ciemna twarz, zjedzona przez wiatr, żar i chłód, jest starannie wygolona, wierzchnia warga pokryta szpakowatym, krótko strzyżonym wąsem. Ciemnobronzowa samodziałowa kurtka, wytarta i poplamiona, długie buty za kolana, stanowią prosty strój — na plecach torba borsucza, mocno wyłysiała. Gdy mnie zobaczył, uchyla w milczeniu wypłowiałej czapki, obrzucając mnie jednocześnie badawczym wzrokiem. Lecz, uprzedzony o jego ambicyi, spieszę, aby zrobić pierwszy krok z mojej strony.

— Pan Stachurski?—pytam, wyciągając doń rękę. Bardzo się cieszę, że Pan chce mi towarzyszyć...

Ostry wyraz oczu starego łagodnieje trochę, gdy ściskam jego brunatne, długie palce i po chwili odpowiada:

— Dzień na polowanie dobry... tylko trzeba iść zaraz, póki rosa...

*(Dalszy ciąg nastąpi).*

## Kilka uwag
## o pracy w naszych czasach.

Są wiadomości podstawowe potrzebne nietylko takim, którzy na własną rękę i przy pomocy własnego kapitału zawiązują przedsiębiorstwa, ale i każdemu z najniższych czy najpodrzędniejszych pionków wielkiego mechanizmu pracy. Każdy z ludzi pierwszej kategoryi, bez tych elementarnych pewników naraziłby siebie, swoje mienie i losy tych, którzy mu zaufali na szwank prawie że nieuchronny — drugi musi koniecznie mieć wyrobione jakieś stałe pojęcia o wartości pracy, o jej podaży i popycie na nią, aby wiedział czego mu się w obranym zawodzie wolno spodziewać — co dla niego do osiągnięcia możebne, a co niedostępne zupełnie.

Możny, czy ubogi posiadający tylko dwoje rąk do pracy, mężczyzna czy kobieta, dziecko nawet jeśli samodzielnie pracuje na siebie, powinni mieć jakieś początki pojęć zasadniczych, aby wybrać drogę dla siebie najodpowiedniejszą, aby módz wywalczyć sobie niezależność, a ustrzedz ducha od zniechęceń i zawodów, tak powszednich, a tak z dobrem ogólnem niezgodnych. Jednem słowem, potrzeba wiedzieć, co przynosimy ze sobą sami na ów rynek — jaką przedstawiamy wartość realną dla tego, który ma zużytkować naszą sprawność i pracę, i co bardzo jest ważnem, w jaki sposób należy nam gospodarować własnym kapitałem sił.

Tymczasem faktem jest, że takich właśnie przygotowawczych danych najmniej gromadzi sobie człowiek, zanim mu się do czynnego wystąpienia w życiu zabrać przyjdzie. Nie dostarczy mu ich szkoła początkowa, najczęściej nie poczerpnie ich z rodzicielskiego domu, a tam gdzie mu się z samą praktyką obranego zawodu spotykać przychodzi, tam już zawsze prawie natrafia na waśń gotową, na zadawnione niechęci, i na wyrosłe na ich gruncie doktryny i pewniki rzekome.

O kwadraturze koła, mianowicie o maximalnem wynagrodzeniu i minimalnej pracy, albo vice-versa, dobrze byłoby aby ludzie przestali myśleć raz na zawsze. To nie ma sensu żadnego, i tego co nie jest możebnem, wymagać dla siebie i drugich nikt trzeźwo myślący nie może. Ocenić należycie własną i cudzą pracę, potrafić ją zastosować do siły organizmu, odpowiednio do tego umieć normować swoje potrzeby i pragnienia, oto filozofia jednostek pracujących. Tymczasem dzieje się wprost przeciwnie; ztąd niepokoje, niesnaski, ztąd gorycze wszystkie, i ten nieustający stan wzburzenia wewnętrznego, z którym normalnie bytować na świecie nie sposób człowiekowi.

Człowiek pracujący fizycznie jest w przeważnej liczbie wypadków ofiarą porównań, które sam robi, a które mu zasłaniają oczy na prawdę i słuszność aż do zupełnego niekiedy zaślepienia. Porównywa on warunki materyalne swego istnienia najpierw z dobrobytem zwierzchników i chlebodawców, porównywa płacę swoją z wynagrodzeniem pracownika o ścianę, bez względu na to, że tamten o bardzo wiele więcej od niego umie albo może, a nakoniec ten, który jest inteligentniejszy, który czyta, a czyta zawsze szukając jednego i tego samego, zaprząta sobie umysł zarobkami w ościennych krajach i częściach świata, i z tego wyprowadza sobie najmylniejsze nieraz wnioski o krzywdach własnych, a szczęśliwości tych dalekich, o których piąte przez dziesiąte zasłyszał.

Różnice te są istotnie bardzo niekiedy rażące na pierwszy rzut oka, ale czy w stosunku prostym do nich ma się pomyślność ludzka, o tem słów parę powiemy przy końcu, a tymczasem weźmy tych kilka cyfr dotyczących zarobków przeciętnego pracownika, które podaje statystyk amerykański prof. M. Gould z Baltimore.

Niemcy płacą średnio swego robotnika 2 franki 50 centymów dziennie — Francya 3 franki—Anglia 4 franki — Stany Zjednoczone 6 fr. 25 cen.—Ważnem jest wiedzieć, że dla przedsiębiorcy zawsze korzystniej płacić drożej, za znaczną ilość roboty dokonanej przez jednego człowieka niż odwrotnie. Wielki przedsiębiorca dróg żelaznych, M. Maxweiler, powiada, że płacił robotnikowi angielskiemu dwa razy więcej niż francuzkiemu, a na tym angielskim właśnie zarabiał o wiele więcej niż na Francuzie.

To samo twierdzili przedsiębiorcy kolei galicyjskich, budowanych w ciągu kilku ostatnich dziesiątków lat. Sprowadzali oni Włochów, płacili im trzy razy tyle co ludności miejscowej, i zyskiwali na tem bardzo wiele.

Jeszcze inny przykład dają nam porównania przemysłu bawełnianego w Mulhuzie i Manchester. Ta ostatnia metropolja tkanin bawełnianych w Anglii płaci robotnika swego dwa razy blizko drożej niż Mulhuza, a tkanina z Manchester sprzedaje się mimo to o wiele taniej niż ta, której dostarcza Europie Mulhuza. Faktem jest także, że fabrykanci wyrobów bawełnianych płacą w Massachussets swoim drukarzom tkanin $4\frac{1}{2}$ dolara dziennie, podczas gdy Niemcy tym samym robotnikom pozwalają zarobić na dobę 1 dolara zaledwie, a mimo to produkcya amerykańska bierze górę nad niemiecką.

To samo w innych gałęziach pracy.

J. St. Mill utrzymuje, że drogo płatny a intensywnie żywiony robotnik rolny angielski z Midllesex kosi trzy razy tyle co robotnik słowiański, a przedsiębiorstwo rolne opłaca się o wiele lepiej w Anglii niż na północo-wschodzie Europy.

*(Dokończenie nastąpi).*

# KRONIKA.

### Zapisy dobroczynne.

W dniu 1 Lutego otwarty został w tutejszym sądzie Okręgowym testament ś. p. Anieli Burzyńskiej, która na cele ogólne przeznaczyła poniżej wyszczególnione kwoty: rs. 4 000, od których odsetki stanowić będą zapomogi stypendyalne imienia ś. p. dr. Miłosława Burzyńskiego dla studentów fakultetu lekarskiego litwinów katolików albo polaków-katolików, które to zapomogi wypłacane będą kandydatom corocznie w dniu 27 Września, jako w dzień śmierci fundatora stypendyum. Rs. 2,000, od których odsetki obracane będą na kupno książek i odzieży dla dwóch uczniów II go gimnazyum w Warszawie wyznania rzymsko katolickiego, wypłacane pod tą samą datą 27 Września każdorocznie. Wybór kandydatów i podnoszenie funduszów z Banku pozostawia się władzom uniwersyteckim i gimnazyalnym.

Oprócz tego przeznaczyła testatorka 3,000 rubli jako fundusz wieczysty do ulokowania w Banku. Odsetki od tej summy podzielone być mają na 3 równe części i wypłacane corocznie trzem kościołom warszawskim, a mianowicie: kościołowi św. Piotra i Pawła, pokarmelickiemu—i Jasnogórskiemu w Częstochowie, z warunkiem, aby w każdym z nich w rocznicę śmierci męża testatorki odprawiane były nabożeństwa żałobne.

### Rozstrzygnięcie konkursów.

Ustanowiony przez Towarzystwo Muzyczne sąd konkursowy dla kantaty Mickiewiczowskiej, złożony z pp. Jana Karłowicza, Kazimierza Kaszewskiego i Adama Pługa, wyrokował ostatecznie w tej sprawie pod datą 5 Lutego r. b. Z nadesłanych 136 utworów poetycznych 14 nie odpowiadało warunkom ustanowionym przez Towarzystwo Muzyczne, a 1 okazał się poza konkursem. Nagrodzono utwór poetyczny oznaczony godłem „44." a odznaczono nadto dwa jeszcze inne, z których pierwszy nosił na kopercie napis: „W górę myśl!" a drugi „Pax, pax!" Autorem nagrodzonego jest p. Józef Łubieński z Sosnowca, autor pod godłem „W górę myśl" wyraził życzenie zachowania incognito, pod godłem zaś pokoju pisał p. Nikodem Iwanowski z Tryszek w gubernii Kowieńskiej.

Doroczny konkurs Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych na posiedzeniu wyznaczonych ad hoc artystów malarzy i rzeźbiarzy, zawyrokował w dziale malarskim I ej nagrody nie przyznano nikomu, dwie zaś drugie otrzymali pp. Pankiewicz Józef i Wasilkowski Kazimierz. Listy pochwalne przyznano pp. Stanisławowi Żochowskiemu, Sylweryuszowi Saskiemu i Czesławowi Tańskiemu.

W dziale rzeźby podobnie jak w dziale malarskim I ej nagrody nie przyznano wcale, II-gą otrzymał p. Henryk Glicenstein, a list pochwalny p. Marya Gerson. Poza konkursem zaleca komitet do odznaczenia przy podniesieniu do wysokości I ej nagrody pracę p. Wyspiańskiego, a nagroda III ma także być podniesioną do wysokości nagrody II-ej t. j. do rs. 200.

Z Kijowa donoszą „Kuryerowi Codziennemu," iż termin nadsyłania kompozycyj marsza Mickiewiczowskiego na konkurs, ogłoszony przez tamtejszego księgarza p. L. Idzikowskiego, odroczony został do 4 Marca nowego stylu. Dotychczas nadesłano 6 prac konkursowych z godłami: Farys—Czyń każdy w swojem kółku i t. d.—Z sioła — Idziemy wieniec pleść dla prawdy—Rękopis nr. 3333—i kompozycye z Kopenhagi. Nagrodzony utwór będzie odegrany przez orkiestrę symfoniczną w Kijowskim klubie artystyczno literackim, wobec zaproszonego audytoryum.

### Sprawy miejskie.

Od paru miesięcy nieprzerwanie donoszą pisma codziennie o katastrofach budowlanych, których widownią jest w ciągu bieżącej zimy Warszawa. Co tydzień prawie dowiadujemy się o jakiejś ścianie nowobudującego się domu wygiętej albo uszkodzonej, o zakazie ze strony władz dokończania domu zagrażającego ruiną, o zapadaniu się sklepień piwnicznych, a nawet o ofiarach tej epidemii czy tej gorączki wysokich i nieprawych zysków. Oczywistem jest, że nad przyczynami niema co łamać sobie zbytecznie głowy. Po prostu przedsiębiorca budowlany nie kontroluje dobroci i wytrzymałości materyałów, właściciel oczekujący wykończenia jak najrychlejszego nieruchomości i jak najszybszego puszczenia jej w kurs, ani się troszczy o jej wartość realną, a że tam zginie przytem pewna ilość robotników, że pozostanie po takich męczennikach szalbierstwa trochę więcej sierot bezdomnych, że powierzone przedsiębiorcom kapitały będą zagrożone, a następnie w miarę, jak się wieść o ilości tych katastrof rozpowszechni, sam kredyt hipoteczny Warszawy ucierpieć może—o tem nie myśli dotąd nikt. Hurtowne i gründerskie prawdziwie traktowanie zobowiązań swoich ze strony majstrów mularskich przechodzi istotnie zwyczajne rozmiary, są bowiem pomiędzy nimi i tacy, i to będą z pewnością najbardziej renomowani, którzy się do kilkudziesięciu naraz fabryk zobowiązują.

W ten sposób wzrastają nieprawe nabytki ludzkie, w ten sposób ginie moralność, pojęcie o godziwości lub niegodziwości zysku. Krzywda ludzka pieniężna jest rozumie się przy każdej podobnej katastrofie nieuniknioną, lekceważenie życia pracujących dopomina się o zadosyćuczynienie, ale najopłakańszem następstwem jest samo powstanie metody takiej, która fatalne wydaje świadectwo panującej etyce wśród warstw drobnego mieszczaństwa warszawskiego, bo jużciż że tam musi być łańcuch cały systematycznego pomijania przepisów i względów na bezpieczeństwo, wątpliwości nie podlega. Źle tedy!

### Informacye.

Jak zawiadamia Ministeryum Skarbu, kursujące obecnie banknoty 25-co, 10-cio i 5-cio rublowe pozostaną w obiegu do d. 31 Grudnia 1898 r., a po upływie tego terminu wycofane zostaną zupełnie.

Przy zakładzie dla kalek nieuleczalnych imienia św. Stanisława Kostki, mieszczącym się w naszem mieście przy ulicy Dzielnej, otwarto schronienie dla dzieci, których matki zmuszone są zarobkować poza domem i pozostawiać te dzieci bez opieki żadnej. Zdaje się że zakłady tego rodzaju nie wzrastają u nas równomiernie do potrzeb tak szybko zwiększającego się zaludnienia.

Z dniem 5 Lutego weszło w wykonanie rozporządzenie władzy, według którego na wszystkich drogach żelaznych, chorzy mogą być przewożeni na własnych łóżkach za biletem klasy III od osoby. Całkowita opłata nie może być mniejszą niż 15 kop. od wagonu i wiorsty.

### Pożądana wiadomość.

Zapewne na podstawie gruntownej informacyi, donosi „Słowo" o ruchu robotniczym na linii dr. żel. Warsz. Wiedeńskiej. W warsztatach warszawskich tej linii pracuje 1.052 robotników i rzemieślników, którzy wraz z rodzinami swojemi tworzą ludność blizko pięciotysięczną. Otóż przy przeniesieniu warsztatów głównych drogi do Pruszkowa, przeniesionych tam zostanie 895 pracowników wymienionej kategoryi, a 157 tylko pozostanie w Warszawie do obsługi taboru i natychmiastowych poprawek i reperacyi. Jakkolwiek przewóz bezpłatny pracowników z Warszawy do Pruszkowa jest i dzisiaj zapewniony, jednakże dla taniości życia prawie wszyscy przenieść się zamierzają do tej stacyi i wsi blizko niej położonych. Tym sposobem miejscowość powiększy swoją ludność o jakieś cztery tysiące. W każdym razie ten obrót rzeczy wydaje nam się bardzo pomyślnym. Warszawie ubywa parę tysięcy dzieci chorowitych, które tum w lepszych warunkach odzyskać mogą zdrowie i siły, a jaka przy tem sposobność do kolonizacyi, tworzenia spółek, budowania domów familijnych. To co w Warszawie trudnem jest bardzo do wykonania, tam staje się wykonalnem odrazu.

### Odmiany sztuczne barw kwiatowych.

„Wszechświat" podaje wiadomość o wpływie natury gruntu na zabarwienie kwiatów, którą zawdzięcza studyom botanika Molischa, głoszonym w „Botanische Zeitung." Według fizyologa niemieckiego normalnie różowe kwiaty hortensyi, w niektórych gruntach przybierały zabarwienie niebieskie, a po zbadaniu własności ziemi, przekonał się on, że tym razem zawdzięczał kwiat zmianę barwy swojej alunowi który się tu znajdował w pewnym stosunku. Oprócz ałunu działa jeszcze w ten sam sposób siarczan glinu i siarczan żelaza, innych natomiast soli żelaza wpływu nie zauważono. Zabarwienie niebieskie ma być następstwem łączenia się wspomnianego składnika z substancyą stanowiącą normalny barwnik kwiatów hortensyi.

### Ze sztuki.

Pierwsze przedstawienie „Livii Quintilli" opery Zygmunta Noskowskiego (autorem libreta jest ś p. Stanisław Rzętkowski), odbyło się we Lwowie w dniu 8 Lutego. Z utworu tego poznała publiczność warszawska dotąd tylko „Przegrywkę" odegraną przez orkiestrę w Towarzystwie muzycznem w ostatnich dniach Stycznia r. b.

## Wskazówki i rady.

Obiad mniej wystawny.

1) Zupa neapolitańska i rosół rumiany z jarzynkami—paszteciki do wyboru.
2) Szczupak w majonezie.
3) Polędwica z garniturem.
4) Pasztet z kuropatw we francuzkiem cieście.
5) Kalafiory „au gratin" i fasola zielona z wody z młodem surowem masłem po angielsku.
6) Zając lub sarna — indyczki z kasztanami — kompoty różne i sałata zielona.
7) Tort hiszpański, lub krem ponczowy czy inny. Galarety wyszły z użycia, z powodu, iż je podawano za twarde. Deser. Sery — owoce pomarańcze i jabłka.

*Lucyna Ćwierczakiewiczowa.*



☞Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

TREŚĆ: O zmierzchu, p. Helenę Ceysinger. — Marya Rodziewiczówna: Kądziel (dalszy ciąg). — Zagrożona fundacyn. — Nasza t. zw. satyra. — Pan Stachurski, obrazek współczesny. — Kilka uwag o pracy w naszych czasach. — Kronika. — Ogłoszenia. — Juliusz Zeyer: Jan Marya Plojhar, przełożył Miriam (ciąg dalszy).

Дозволено Цензурою. Варшава, 28 Января 1898 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

*Juliusz Zeyer.*

# JAN MARYA PLOJHAR.

PRZEŁOŻYŁA

MIRIAM.

(Ciąg dalszy).

Wyznam ci wszystkie grzechy moje: Zazdrościłem w ostatnich czasach Luigi'emu. Gnębiła mnie przewaga jego duszy, siła jego ciężyła mej słabości. Caterino, byłem szaleńcem! Gorączka to moja takim nikczemnym i podłym mię czyniła. Ach, nie umiem nawet kochać, nie kochałem nikogo prócz siebie... Nie! nie! krzywdę sobie wyrządzam, nieprawdę mówię! Teraz, w tem okamgnieniu czuję to znowu, że mimo całej nędzy swej i słabości dziecinnej, kochałem cię i kocham, i chcę być godnym ciebie przynajmniej w tych ostatnich już życia mego chwilach.

Caterina położyła mu głowę na ramieniu, ale przemówić nie mogła. Była śmiertelnie znużona tylu gwałtownemi wzruszeniami, a serce miała jak w kleszczach.— Nie śmierć, życie jest straszne—myślała.—Nie być zrozumianą przez niego, którego kocham!—I zaraz potem wyrzucała sobie znowu tę myśl.—Nie, nie — rzekła sobie w głębi duszy, — on kocha mnie, co do tego niema najmniejszej wątpliwości, a cała jego omyłka i ta krzywda, którą mi wyrządzał, pochodzą tylko z niezmiernej jego miłości... I ja miałabym go utracić—i żyć?— Przytuliła się mocniej do niego, i niemo trzymali się w objęciu...

— Pójdźmy do domu — rzekła wreszcie cicho—słońce zanadto palić zaczyna.

Te słowa przerwały czar. Wrócili z marzeń do trzeźwiejszego świata... Pragnęła znaleźć się sama, bez świadków. Nie powinien był widzieć jej nikt, nawet on—przedewszystkiem on, jak pod brzemieniem swego krzyża nareszcie upadać zaczynała.

Jan Marya powstał i udali się w drogę powrotną do domu. I on pożądał samotności zupełnej, bez świadków, chciał zebrać siły, chciał jasno rozejrzeć i rozczytać się w sobie, chciał wyrwać z serca swego wszystko, co było tam złego i chorobliwego. Czuł, że przełom jego losu jest blizki, czuł ze zdumieniem, że coś nowego, dziwnego, dotąd mu nieznanego, niewidzianego i niesłyszanego, wkrótce z nim się stanie. Co?... Zadrżał, pomimo całej, świeżo zdobytej energii... Kroczyli milcząco koło siebie, aż do samego domu.

— Nie chcesz pójść do ogrodu? — Spytała, gdy stanęli w bramie.

— Nie, Caterino—rzekł cicho.—Pójdę do swego pokoju, odpocznę i postaram się odzyskać spokój zupełny. Potem przyjdę do ciebie na taras, jeżeli tam będziesz.

— Z pewnością czekać tam będę na ciebie—odpowiedziała—i rozeszli się. Ona pośpieszyła na górę po schodach, nie wstrzymując już łez, padających jak rosa.

Jan Marya odszedł powoli do swego pokoju. Odrzucił kapelusz, padł na fotel i zakrył sobie twarz rękami.

— Co się ze mną dzieje — rzekł sobie. — Ach, nic niezwykłego! Umieram. To takie proste.

I zadrżał kilkakrotnie, i było mu niezmiernie ciężko, niezmiernie żal wszystkiego, wszystkiego.. tej własnej młodości, tego słońca, wszystkich rzeczy, wszystkich uczuć—nawet tych boleści wielkich... Jej, jej, jej wszakże przedewszystkiem. Łkał wewnętrznie, piersi wzdymały mu się, ciało rzucało się kurczowo, ale ani jedna łza nie przyszła mu do oczu. Podniósł się.

— Nareszcie—rzekł sobie głośno—nareszcie chcę być mężczyzną! Tak więc, umrę. Boże, daj mi siłę, abym śmierci w twarz patrzeć mógł—i nie drżał! Ach, żegnaj, życie!

Jakaś jasność rozlała się słabo w jego wnętrzu. Jął rozmyślać o życiu, nie o tem wszakże krótkiem, pierzchliwem, które jeszcze miał przed sobą, lecz o tem, które za nim już leżało... daleko... niby rzecz, która była, lecz już nie jest...

— Co było moim błędem? Dla czego nie mogłem być szczęśliwym? — badał z zimną krwią przeszłość. — O, jest to bardzo proste: nie miałem nigdy dość odwagi, aby żyć, nie zdołałem nawyknąć do świata, który miałem dokoła siebie. Świat ten uważa ludzi mojego rodzaju za wrogów i albo ich prześladuje, albo nimi gardzi. Życie ma tylko jedną drogę, równą, pewną, wyraźną. Krok w stronę od niej—i biada tobie, któryś go uczynił! Zginiesz. Czego chce życie? Abyś tą drogą szedł, którą ono ci wskazuje, i nie oglądał się ani na prawo, ani na lewo. A ja? Ja tego nie pojmowałem i nie zdołałem. Mnie nie chciało się kroczyć drogą wskazaną, ślepo, posłusznie, ja nazbyt rozmyślałem, dokąd ona prowadzi. Oglądałem się bezustannie na prawo i na lewo - i zboczyłem powoli, mimowiednie, daleko. Ja nie widziałem nigdy tego, co było w pobliżu; dal, niedojrzaność — oto co mnie nęciło, ciągnęło. W tę niedojrzaność padałem, padałem jak zbłąkany w nocy wędrowiec w przepaść pada. Patrzeć w niedojrzaność, zapominać o tem, o czem wszyscy pamiętają, błądzić za celem, który stale ucieka, nazywa się to być wizyonerem, a niekiedy poetą... Umieram młodo... Boże! bardzo młodo. Ale dusza moja ostatecznie nigdy tutaj nie żyła. Może rozbrzaśnie tedy w innym bycie, którego analogii i rodzaju nawet przeczuć nie zdołam, może rozbrzaśnie tam w pełnej chwale owo światło, które tutaj słabo tylko we mnie błyskało. Poezya jest może przeczuciem, które tam prawdą i rzeczywistością się staje. Nie szemrzę już. Byłem poetą i dziękuję Bogu za ten zdrój słodkich, wielkich i bolesnych uczuć. Że to, co we mnie kwitło, nie dojrzało w owoc, boli mnie, lecz nie poddam się bólowi, toć ufam, że to znowu i piękniej we mnie wykwitnie... tam. Ach, Boże mój!—gotów jestem ztąd odejść. Nareszcie, śmierci, nie boję się ciebie! Życie jest słodkie, tak, ale ty jesteś słodsza snadź jeszcze, niż ono.

Głowa opadła mu powoli w tył na oparcie fotelu, a oczy jego błądziły za oknem, po drzewach, oświeconych słońcem, na których ptaki latały, skakały, szczebiotały... Przymknął na chwilę oczy. Było to takie słodkie, co widział, takie powabne, takie piękne, bał się, że żal mu będzie tej światłości, tych drzew, tych ptaków—bał się, że osłabnie znowu. Po chwili powstał. Wyjął wszystkie swe rękopisy i ułożył je w kominku. Potem potarł zapałkę. Dźwięk ten wydał mu się dziwnie ostrym, zasyczał jak żmija, tak, że Jan Marya zadrżał; zbliżył jednak płonącą zapałkę do papierów, płomyk mały strzelił z nich, potem rósł szybko i wkrótce ogień zapłonął wysoko.

Jan Marya siedział i patrzał, jak pomału wszystko w dym i popiół się obracało—wszystko, co był marzył i cierpiał, wszystko, co mu było drogiem, słodkiem i gorzkiem, wszystkie szały radosne, wszystkie rozpacze, wszystkie pragnienia i tęsknoty. Zdało mu się, że było to całe jego życie. Smutek niezmierny ogarnął go znowu na chwilę, ale wypogodniał powoli w uczuciu rezygnacyi, której melancholia nie była pozbawiona pewnego czaru. Jan Marya czuł się silnym. Nareszcie! Patrzeć na ten popiół, było to patrzeć na siebie w trumnie, w grobie, w nicości...

— Imię moje zaniknie, zanim się ozwało— szeptał do siebie—rozwieje się bez śladu, jak ten popiół, który wiatr rozniesie... Cóż z tego?—dodał po chwili z niewymownie marzącym uśmiechem, i w słoneczny zapatrzył się nieboskłon.

Potem przysiadł do stołu. Pisał do siostry. Pisał jej krwią serca swego, był to ostatni bolesny jego wykrzyk. Wylał ostatnie łzy swoje, żegnając się z nią—tak oto, listownie— na wieki. Jeżeli była przystępna miłości, musiało ją wzruszyć to, co jej pisał, nawet mimo mgieł, które myśl jej otulały. Nie mógł więcej dla niej uczynić, niż kochać ją miłością dawną, miłością z tych pierwszych lat swego dzieciństwa. O braku miłości siostrzanej z jej strony nawet nie wspomniał. Ona była nieszczęśliwa, i wiedział, że jej na tym świecie już nie zobaczy—to wystarczało, aby morze jego tkliwości rozfalowało się aż do dna... Wylał całe bogactwo swej miłości, cały skarb swego głębokiego uczucia w mroki jej duszy. Wreszcie, napisał i do Leopolda list krótki, ale serdeczny, żegnając się z nim na zawsze.

Zrobiło mu się lżej na sercu. Nie miał już trosk doczesnych. Rozdzielił pieniądze, jakie jeszcze mu pozostawały na różne sumki, w części na opłacenie wszystkich wydatków (nawet swego pogrzebu), w części na dary dla Suntarelli, starego Francesca i tej poczciwej Angioliny. Potem napisał do swego bankiera w Rzymie, prosząc, aby wypłacił pewną sumę Luigiemu, dając mu zlecenie na swego szwagra w Pradze. Teraz nie pozostawało nic już więcej. Mógł iść, dokąd Bóg go wołał. O, jakiż się czuł szczęśliwy! Mógł umrzeć tutaj, pod jej dachem, blizko niej. Ona zamknie mu powieki!... Zebrał wszystkie siły. Musiał teraz być spokojnym, chciał jej powiedzieć, jak dalece pogodził się z losem, ufał, że tem ją pocieszy. Jak jej to powiedzieć i zachować spokój? Tego nie wiedział. Ale powiedzieć jej musiał, że czuje, iż umiera, i że gotów jest odejść spokojnie—musiał prosić ją, aby mu odpuściła wszystko złe, jakie okrutnemi słowy był jej wyrządził...

Bezwiednie poprawił sobie włosy i krawat przed lustrem, zanim wyszedł z pokoju. Uśmiechnął się.—Jesteśmy dziećmi do ostatniego okamgnienia — rzekł sobie i jął wstępować powoli, nie bez wysiłku na górę po schodach.

Caterina była w swoim pokoju, drzwi na taras były otwarte; piękne Boże słońce wdzierało się przez nie z tej modrej Kampanii, pełnej blasków i cieni, pełnej wielkości, pełnej smętku i wesela, a razem z tą falą słoneczną płynęły z ogrodu do pokoju szum drzew, szczebiot ptaków i wonie słodkie, silne, świeże.

Caterina stała przed zwierciadłem, i ona, usłyszawszy jego kroki, jęła poprawiać sobie włosy i spoglądała z niepokojem na siebie, czy nie ma oczu zbyt czerwonych.

Gdy wszedł, uśmiechnęła się do niego — i zdumiała się marzącej, głębokiej pogodzie, jaśniejącej z jego oczu. Było coś prawie świętego w tym wyrazie jego spojrzenia i twarzy, coś słodko rozmarzonego, coś ubłogosławionego. Oczy jego rozjaśniały się i mroczyły znowu jak dwa rozświty, ale jak rozświty nadziei, wschodzącej na firmamencie lepszego jakiegoś życia.

Caterina podała mu rękę, jak gdyby witając go z dalekiej jakiejś podróży. Ruch ten był mimowolny a myśl, która go wywołała, niejasna.

— Jesteś zupełnie zmieniony na twarzy — rzekła mu—jak gdybyś odebrał szczęśliwą jakąś wiadomość.

— Zmieniony?—powtórzył za nią marząco.— Nie, Caterino. Przeciwnie. Jestem znowu sobą. Odnalazłem nareszcie siebie samego. Przed chwilą, tam na wzgórku, byłem zmieniony, do niepoznania zmieniony.

Głos jego był taki cichy, że szedł jej wprost do serca, a było w nim, równie jak w oczach, coś podobnego promieniom. Nie odpowiedziała, wzięła go za rękę, i wyszli razem na taras. Caterina siadła i przyciągnęła tuż drugie krzesło dla niego, ale on kląkł u jej nóg, ujął ją w pół i patrzał jej w oczy.

— Caterino—rzekł cicho, a gorąco—pocóż ja zjawiłem się na twej drodze? Poco wkroczyłem między ciebie i słońce, między ciebie i szczęście? Rzuciłem cień na całe twe życie, ja, chory ciałem i duszą.

Położyła mu rękę na ustach, słowa zamierały jej w gardle i dusiły ją, oczy jej wszakże prosiły, aby nie mówił dalej—*tak* aby nie mówił.

Ale on zdjął tę drogą jej rękę z ust swoich, i ciągnął dalej:

— Nie, Caterino. To nie jest to, com chciał ci powiedzieć... Wiem, że mnie kochasz, i że dla tego ten cień, który rzuciłem na słoneczną twą drogę, drogim ci będzie zawsze, jako po mnie pamiątka. Nie mogę wyrzucać sobie, że cię kochałem! To nie było dziełem mojem, ani twojem. Miłość, jako tchnienie Boże, wionie, kiedy chce. Coś innego chciałem ci powiedzieć, Caterino. Byłem dzisiaj niesprawiedliwy, srogi okrutny. Pomnij, że mówiła ze mnie choroba, gorączka, szaleństwo. Caterino, zaklinam cię na miłość naszą, odpuść mi!

Dziewczę oddychało ciężko, nie mogło ani przemówić, ani się poruszyć, serce miało jak między kamieniami młyńskimi. Zamknęła oczy i zacięła zęby, a blada jej twarz była jak martwa. Boleść jej była zbyt okrutna. On się z nią żegnał!

— Caterino—szeptał młodzieniec—wiem, że mi przebaczasz. Wiem. Ale powiedz mi to, choćby ruchem, jeżeli boisz się wybuchnąć płaczem. Patrz, zamknąłem oto swoje rachunki. Całą zawiść swoją, całą gorycz, całą rozpacz odrzuciłem od siebie, a całą miłość swoją, rozjaśnioną przez to i wywyższoną, biorę z sobą tam... tam... Wiesz, co chcę rzec, Caterino. Bądźmy spokojni oboje. Przebaczasz mi tedy?

Schyliła się ku niemu, pocałowała go gorąco w usta, ale nie otworzyła oczu. Byłby w nich wyczytał, że i ona umiera.

Jan Marya trzymał głowę jej, która mu opadła na ramię, długo w objęciu. Potem powstał i siadł koło niej.

— Było to grzeszne i nierozsądne—ciągnął dalej — bronić się śmierci, skoro już uniknąć jej niepodobna. Było w tem coś dziecinnego. Rumienię się—nie byłem mężczyzną. Patrz, Caterino, jakie to dziwne. Gdym siebie teraz poznał znowu i spostrzegł, jak mało szlachetną gram w tych zapasach rolę, powiedziałem sobie: — A więc, skoro żyć nie możesz, nabierz odwagi i umiej umrzeć. — I zdało mi się, Caterino, żem puścił brzeg, którego dotąd uparcie się chwytałem, i teraz oto unosi mię prąd. Caterino, przebacz mi i tę dla ciebie tak okrutną rozmowę. Ale musiałem ci to powiedzieć. Pamiątka moja w czystszem będzie przed tobą świetle, gdy o wszystkiem się dowiesz. Znasz całą moją słabość, dozwól, abym ci męztwa swego dowiódł. Czyliż nie jest to dla ciebie pociechą, gdy widzisz, iż spokojnie poddaję się niecofnionemu losowi swemu?

Ścisnęła milcząco jego rękę, a w oczach, które teraz otwarła, płonęła cała jej miłość, cała jej boleść.

— Dość tych mąk!—błagała Boga na dnie duszy.

— Nie będę ci już więcej o tem mówił — rzekł po chwili. — Przebyliśmy chwile najsroższe. Żegnam się tak oto z tobą, nie w agonii, nie w dzikiem szarpaniu się nerwów w ostatnich okamgnieniach, gdy człowiek już sobą nie włada. Nie, spokojnie, z rezygnacyą, pogodzony z wolą Tego, w którego wierzymy oboje, każde po swojemu. Caterino, błogosławię ci. Bądź szczęśliwa. Boleść twa będzie ciężka, ale nie wieczna. Patrz, jest mi to pociechą, że ból twój z czasem się ukoi, pociechą jest mi to, co memu samolubstwu męką było. Będę dla ciebie legendą, tak, jak przed chwilą się żaliłem, ale sądź teraz z mego uśmiechu, jak myśl ta mię upieszcza. Być legendą, to znaczy mieć wokół siebie promienie aureoli! Będziesz mnie zawsze widziała w świetle tak pięknem i słodkiem! W postaci takiej żyć będę w twej duszy na zawsze. Nie zapomnisz mnie, ale nie będziesz przez to nieszczęśliwa. To pociecha, z którą odchodzę. A teraz ani słowa więcej o śmierci.

Caterina wstała. Patrzała przed siebie w bezbrzeżną krainę, z tym ogromnym, nieprzejrzanym widnokręgiem, modrym i płomienistym. Wielki, majestatyczny spokój materyi i przestrzeni zdawał się głosić moc praw wyrocznych i niezwalczonych. Było w tej wielkości coś okrutnego, miażdżącego, jak w pojęciu starożytnego fatum. Dziewczę czuło to głucho—i bunt w niej rozpłonął.

— Nie — brzmiał wykrzyk jej duszy — nie masz nic mocniejszego nad miłość moją. Rozłączyć się z nim, poddać się losowi? Przypuścić, że między nim a mną byłaby nieskończoność czasu i przestrzeni? O, jakaż okrutna to myśl, ale straszniejszem jeszcze od niej jest wyobrażenie, że między nim a mną mogłoby stać życie. Życie ze wszystkiemi nawyknieniami istnienia, dzień każdy ze swemi próżnemi zatrudnieniami, banalnemi troskami i całą trzeźwością swoją! Każdy taki dzień, który choćby powierzchownie uwagę do siebie przykuwa, jest grudą ziemi, spadającą na trumnę drogich zmarłych. Pod ciężarem tym pogrąża się trumna coraz głębiej i głębiej! Moja miłość, boleść moja miałyżby stać się podobnemi do jednej z tych ruin w Kampanii? Świątynie były to niegdyś, lecz gdy bóstwa odeszły, jęły rozsypywać się, kruszyć, codzień wyrastał jakiś chwast nowy, jakiś mech, który pomału, pomału, ale pewnie ściany i fundamenta ich rozżerał... każda kropla deszczu, rosy przyczynia się do ich zaniku...

Zwróciła się gwałtownie ku Janowi Maryi.

— Pójdę z tobą!—zawołała głębokim, dźwięcznym głosem, czystym, pełnym, mocnym a słodkim jak dźwięk dzwonu.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem. Nie zrozumiał tego uroczystego, wielkiego tonu, bo podczas rozmyślania Cateriny zjawiła się była u drzwi wiodących do pokoju Suntarella i poprosiła dziewczę i Jana Maryę do stołu.

— Idę — odpowiedział jej spokojnie, acz wiedział, że ledwie jadła dotknie, a teraz myślał, że Caterina odpowiada również na wezwanie staruszki.

Dziewczę pojęło w okamgnieniu jego omyłkę, i coś jakby uśmiech zaigrało jej na ustach. Ale zostawiła go w błędzie Toć nie powinien był tymczasem wiedzieć, co zamyślała, do czego robiła aluzyę. Przypadkowi temu, bagatelnemu i śmiesznemu, wdzięczna była poprostu. Uratował ją od wyjaśnień, których daćby nie mogła.

— Widzisz, że zaczynam być spokojną — rzekła, opamiętawszy się po chwili.—Ten mimowolnie podniesiony głos był ostatnim śladem mego wzburzenia. Wiesz, dla czego jestem spokojniejsza? Myślę, że — że się nie rozstaniemy...

Westchnął tylko.—Ona jeszcze ufa—pomyślał i spuścił oczy.

Na szczęście jęła Suntarella opowiadać o przeróżnych zdarzeniach.

— A gdyby tak—rzekła w końcu—wynieść stół tutaj? Moglibyście państwo zjeść obiad na tarasie. Słońce długo jeszcze tu nie dojdzie, a dla pewności rozwinę markizę.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Marszałkowska 101. * ZEGARKI. • W. RUDNICKI • BIŻUTERYA. * Marszałkowska 101.

697—25—2

Nowi prenumeratorzy

**„KURYERA CODZIENNEGO"**

otrzymają bezpłatnie początek drukującej się powieści Emmy Jeleńskiej ***„Panienka"*** i początkowe arkusze romansu Gyp'a ***„Baron Sinai"***; po opłaceniu kwartalnej prenumeraty otrzymają jako premium 1-szy tom ***Poezyj Mickiewicza***, a po opłaceniu całorocznej prenumeraty cztery tomy ***Poezyj Mickiewicza*** bezpłatnie.

Cena miesięcznie kop. **50**, z przesyłką pocztową kop. **75**. Krakowskie-Przedmieście № 17. 807—8—2

***Krucza 19, m. 21.***

PRACOWNIA SUKIEN DAMSKICH

**W. Bednarskiej,**

Wykończanie sukien eleganckie, prędkie i tanie. 809—6—1

Fabryka Kwiatów sztucznych

**Wróblewskiej**

**Marszałkowska 140, m. 5,**

poleca piękne wyroby, tak balowe, jako też i kapeluszowe, po cenach bardzo przystępnych. 808—13—1

**Dla Pań malujących**

Farby, Przybory Artystyczno-Malarskie, Wzory, Szkice, Rzeźby i t. p. poleca Skład

**T. CZARNOCKIEGO**

**101, Marszałkowska 101,**

W WARSZAWIE. 812-50-1

**SAINT-LÉHON**

Wino toniczne, odżywcze i wzmacniające, prawdziwe i jedyne wino dla rekonwalescentów. Do nabycia we wszystkich aptekach i składach aptecznych. 729-25-18

**Nowo-otworzony Magazyn Mód**

*L. ZIELIŃSKA*

**11. NIECAŁA 11, I piętro.** 692-40-25

SPECYALNY ZAKŁAD

**Reparacyi maszyn do szycia**

**W. KALINOWSKI**

Wspólna Nr. 15 785-50-8

Dozw. przez Urz. lek. za N. 337 na ogól. zas. handl.



**PUDER IRIS**

**jedynie nieszkodliwy,** dostać można w składach aptecznych i perfumeryjnych, prawdziwy tylko w blaszanem opakowaniu z podpisem **H. Lachs.** Pudełko kop. 15, 30 i 50

708—20-10

WYPOŻYCZALNIA (CZYTELNIA)

**KSIĄŻEK**

polskich i francuskich

przy Księgarni Sortymentowej i Składzie Nut **MAURYCEGO ORGELBRANDA, M. Machwitz** w Warszawie, naprzeciw posągu Kopernika. Wysyła się i na prowincyę. 748—25-13

**LECZNICA**

*Marszałkowska № 94,*

róg Nowogrodzkiej (gdzie apteka W-go Barcza).

Porady we wszystkich specyalnościach dla przychodzących chorych od g. 9 do 4 i od 7 do 8 p. p., codziennie, nie wyłączając niedziel i świąt. Cena kop. 30. 806—15-2

Do nabycia w księgarniach podręcznik nauczycielowego pedagoga **Reussnera**

**„SAMOUCZEK"**

**Polsko - Francuski, najlepsza, najnowsza, najłatwiejsza metoda** do bardzo prędkiego nauczenia się francuskiego języka **bez nauczyciela,** z objaśnieniem wymowy i akcentowania, **I-szy kurs 13** zeszytów, **II-gi kurs 24** zeszyty. **Gramatyka Polsko-Francuska, 10** zeszytów, każdy po kop. 15 (pocztą kop. 18). Na zaliczkę pocztową wysyła się **tylko 20, 10,** lub przynajmniej **6 zeszytów. Kurs I-y z drugiej edycyi** w całym tomie kosztuje rs. 1 kop. 20 (pocztą rs. 1 kop. 35) Każdy nabywający wszystkie **47 zeszytów „Samouczka"** wprost **od autora,** otrzyma jako **premium bezpłatne** dzieło wartości rs. **1** kop **20.**

**SAMOUCZEK** **Polsko-Rosyjski** wychodzi zeszytami po kop 10 (pocztą k. 13).

Tak **Samouczek Francuski,** jak również **Rosyjski,** został opracowany na wyraźne **żądanie** i dopominanie się **Sz. Publiczności i Pp. Pedagogów.** Skład główny u autora **(v. Reussnera),** ul. **Złota № 6,** w Warszawie 797—12-2

**Do handlu Delikatesów**

nadszedł transport

**Kolmarów**

Pasztetów Strasburgskich

oraz co dwa dni świeże

**Homary,**

Soles,

*Turbot.*

**OSTRYGI,**

Ananasy,

**KAWIOR**

Astrachański,

**RYBY**

świeże i wędzone

**po cenach umiarkowanych.**

**W. Rogulin i P. Kuryluk w Warszawie,**

w Gościnnym Dworze. Telefon Nr. 729.

799—4—3

**W. KONOPACKA,**

**Nowogrodzka Nr 9, I piętro.**

Pracownia sukien i okryć wykonywa obstalunki z własnych jak i z powierzonych materyałów, wykwintnie po cenach przystępnych, według ostatnich wzorów 786-25-11

FIRMA EGZYSTUJE OD 1873.

Magazyn Mebli

**ZAŁĘSKIEGO i S-ki**

w Warszawie,

***137. Marszałkowska 137.***

Poleca wielki wybór mebli. Warsztaty własne. 566—25-25

**Pracownia sukien damskich**

pod firmą 784-25-5

**M-lle Leske,**

prowadzona przez cechową uzdolnioną osobę; robota wykończana będzie staranie i sumiennie, ceny przystępne.

**Nowogrodzka Nr. 33, m. 4.** I piętro

FABRYKA SZCZOTEK i PĘDZLI

**M. TENCERA**

**WARSZAWA,** Krakowskie - Przedmieście Nr. **39** (obok hotelu Saskiego). Sprzedaż hurtowa i detaliczna po cenach umiarkowanych. 671—50 31

765—13—11 **DOSTAWCA DWORU JEGO CESARSKIEJ MOŚCI**

24 Nowy-Świat 24

**K. M. Schröder**

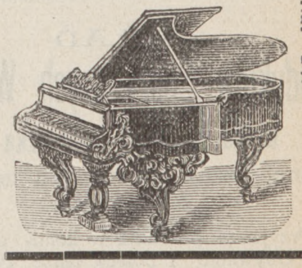
POLECA:

**FORTEPIANY i PIANINA**

w wielkim wyborze i po cenach przystępnych w Składzie fabrycznym

**w Warszawie.**

**ILLUSTROWANE CENNIKI** na żądanie gratis i franko.



**24. NOWY-ŚWIAT 24**

Egzystująca od roku 1824

**FABRYKA WYBOBÓW PLATEROWANYCH**

1 Srebrnych 84 próby

**Józefa Fraget,**

w Warszawie, ulica Elektoralna Nr. 16.

WŁASNE MAGAZYNY ZNAJDUJĄ SIĘ:

W WARSZAWIE: Senatorska 17, Krakowskie-Przedmieście 69, Nalewki 16. 738-26-12 ŁÓDŹ: Piotrkowska 16.

Płótna Jarosławskie, Bieliznę stołową, Firanki, Kołdry pikowe oraz Wyroby bawełniane Moskiewskiej fabryki **„Sawy Morozowa & Co."** poleca Magazyn 781—10-5

**N. I. WEDERNIKOWA**

***Nowy-Świat № 72,*** w gmachu I-go męskiego gimnazyum.

PATENTOWANY SZYNDLERA

**Biusthalter.**

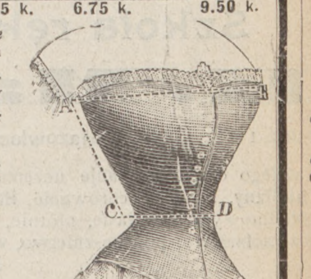


Znany we wszystkich państwach Europy i Ameryki wynalazek nadający każdej figurze estetyczne kształty, zdobył uznanie i listy dziękczynne wszystkich, korzystających z niego pań. **Biusthalter, daje w ciągu całego dnia zupełną swobodę ruchów i dla tego też poleca się WSZYSTKIM, bez wyjątku paniom: pracującym w biurach, szkołach, handlach, gospodyniom przy domowych zajęciach podróżującym, uprawiającym sport, jak również paniom, znajdującym się w odmiennym stanie, karmiącym piersią, a nawet cierpiącym.** Biusthalter opatentowany w 13 państwach, odznacza się eleganckiem wykonaniem z najlepszych materyałów używanych na gorsety.

| CENY | AA | A | B | C | DD (jedw.) |
|---|---|---|---|---|---|
| | 3.50 k. | 4.50 k. | 5.75 k. | 6.75 k. | 9.50 k. |

Obstalunki detaliczne wysyłają się pocztą wszędzie za zaliczeniem z dopłatą za przesyłkę za 2 funty. Przy obstalunkach, uprasza się przysyłać miarę w centymetrach, werszkach, albo na tasiemce według rysunku:

1) **Pełny** obwód, mierząc pod pachą (wraz z plecami) od A do B. 2) **Pełny** obwód stanu od C do D i 3) wysokość boku od A do C. 775—12-3



**Wyłączna sprzedaż na Cesarstwo i Królestwo Polskie**

**w Warszawie, Senatorska 26.**

Adres dla listów: **Warszawa „SZYNDLERA BIUSTHALTER".**

**Nowootworzony Magazyn**

803—13—3 Braci JACOBSOHN, *Długa 53,* poleca

**KWIATY**

sztuczne podług najświeższych francuskich modeli, pióra fantazyjne i strusie oraz ***wstążki jedwabne.***

***NAJLEPSZE MYDŁO DO PRANIA***

bez przymieszki żywicy i innych surogatów. **Nadaje białość,** zapach, dezynfekuje nie niszcząc **bielizny** usuwa potrzebę używania chlorku, sody, bielidła etc. etc. Wypróbowane w szpitalach i pralniach za granicą i u nas. Wyrabia fabryka

**„STĘPKOWSKI & SZYMAŃSKI"**

Żądać wszędzie. *Warszawa, Wolność 16. — Telefonu 1110.* 707-26-19

Saska manufaktura maszyn do szycia ulepszonego systemu Singera, Żórawia Nr. 35 (drugi dom od Marszałkowskiej), na raty tygodniowe od rs. 1, oraz wszelkie reperacye. 669-25-

Przedmioty Gospodarstwa Domowego
*Jerozolimska 72*

# MAGAZYN „METROPOL"

Sprzedaż za gotówkę i NA RATY od 30 kop. tygodniowo
*Jerozolimska 72* 766—50—10

---

## „Pomoc prawna"

DLA NIEZAMOŻNYCH 798—13—3
przy ul. Złotej Nr 14.

P. Adw. przys. **C. Brzeziński, A. Kronenblech, J. Przanowski** i **H. Zbrowski** udzielają porad prawnych, przyjmują sprawy do wszystkich sądów i redagują prośby do wszystkich władz i instytucyj. Codziennie od g. 9 r. do g. 4 p. p.

---

## SKŁAD ROWERÓW i MASZYN DO SZYCIA ✽ ROBERT WILCZYŃSKI

810—50—1 **ceny możliwie umiarkowane.** LESZNO Nr. 12.

---

SKŁAD
SZKŁA, KRYSZTAŁÓW, PORCELANY, FAJANSU, MAJOLIKI,
oraz 585—25—12
własna malarnia na porcelanie
## T. Z. OSIŃSKIEGO
Warszawa, Marszałkowska № 142.
WYBÓR WIELKI. CENY NIZKIE.

---

SKŁAD
## Produktów Spożywczych Wiejskich
w Warszawie, S-to-Krzyzka 17.

Własnej dostawy z różnych miejscowości Państwa.

Przyjmuje produkta w komis od Szanownych Obywateli i poleca tenże Pp. Kupcom hurtowym na stałą dostawę po cenach kosztu + 2% prowizyi. Wysyła towary wszelkie na prowincyę. 572—25—24

---

Fabryka Gorsetów
## I. SCHEFFEL
Niecała Nr. 8. 598—25—24

---

## NOWOŚĆ!

Hurtowa i detaliczna sprzedaż ulepszonej nafty z dostawą do domu. Garniec 32 kop.

## „NAFTOL"
*Królewska 16.* 756-12-11

---

## Zaprawy do podłóg, Farby, Lakiery
poleca **HENRYK OSIŃSKI**
Miodowa 12, wprost Sądu Okręgowego, w Warszawie. 690-25-13

---

Egzystująca od roku 1879
**FABRYKA NOŻOWNICZA**
i Wyrobów Stalowych
**KAROLA KALINOWSKIEGO,**
dawniej **Przewoskiego.**
Poleca gotowe wszelkie wyroby nożownicze. Obstalunki i reparacye po cenach możliwie niskich, stałych.—**Fabryka: Marszałkowska 13, sklep: Rymarska 20.** 774-25-5

---

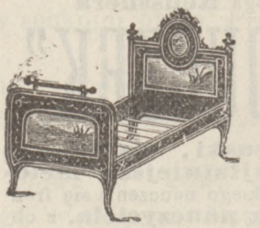
## Władysław Popiel
**JUBILER,**
WARSZAWA, SENATORSKA № 6,
poleca wielki wybór gotowej biżuteryi po cenach umiarkowanych. 654-26-19

---

Magazyn Sukien Damskich
## J. Kochańskiej
Hoża Nr 8. 811—6—1

wszelkie obstalunki wykonywa podług najnowszych żurnali.
Ceny umiarkowane.

---



**116. MARSZAŁKOWSKA 116.**
SKŁAD FABRYCZNY
Mebli żelaznych, Wózków i Welocypedów dziecinnych
z oddziałem pościelowym
***J. Neufelda, w Warszawie,***
**MARSZAŁKOWSKA 116.**
Poleca swe wyroby i artykuły pościelowe po cenach fabrycznych nizkich. Cenniki na żądanie gratis i franco. 695-26 12
Adres dla listów: **Pańska 33 (fabryka).**



---

PRACOWNIA GORSETÓW 546—25—25
## ANNY LAFERSKIEJ
***Warszawa, Chmielna № 18. — Łódź, Konstantynowska № 10.***
Nagrodzona listem pochwalnym na Wystawie Hygienicznej w 1896 roku.

---

## !Firanki bardzo tanie! E. MIRECKA,
**Krucza 23, m. 13.** 41—25—25

---

## M-me ANNA
poleca: suknie spacerowe Genre tailleur
**Marszałkowska 116.** 611—25—23

---

## Pracownia Sukien i Okryć Damskich
709-25-11
# Maryi RYGIER
***w Warszawie, Aleja Jerozolimska Nr 43, m. 10, druga brama, parter.***

---

## M-me Parascovie.
Po długoletniej praktyce w kraju i zagranicą
OTWORZYŁAM 675—25-15
**PRACOWNIĘ SUKIEN i OKRYĆ DAMSKICH**
***przy ulicy BIELAŃSKIEJ № 23, w Warszawie.***
# M-me Parascovie.
Bielańska 23. Bielańska 23.

---

WYŚMIENITE
i
udelikatniające
## MYDŁO TATRZAŃSKIE
WYŁĄCZNA WŁASNOŚĆ
WARSZAWSKIEGO LABORATORYUM CHEMICZNEGO
Z ZAPACHAMI
**Fijołka, Konwalii, Buk. Tatra i Róży**
Cena kawałka 15 k., najwyższy gatunek 25 k. i 45 k.
Dostać można we wszystkich ważniejszych perfumeryach.
735-10-8

---

## Pracownia Rzeźbiarska w drzewie
**D. URBAŃSKIEGO**
***w Warszawie, ulica Bracka № 12.***
Przyjmuje roboty kościelne, salonowe, meblowe, modele do odlewów i wszelką galanteryę.
CENY UMIARKOWANE. 780—24-5

---

**Najlepsze i najtańsze kajety, tornistry,** wszelkie przybory szkolne, oraz papier do owijania śniadań szkolnych, poleca SKŁAD PAPIERU
612—50—42
## L. Poradzewskiego, Niecała 8.

---

## Szkoła rękodzielnicza dla kobiet
# K. Mączyńskiej,
793-2-1 Mazowiecka № 11, m. 8, w Warszawie,

Każdego czasu **przyjmuje** uczennice przychodnie i pensyonarki: na **krój, szycie krawieczyzny i bielizny**, sztuczne cerowanie, **Haft biały i kolorowy**, złotem i na skórze. **Malowanie** sposobem gobelinowym na atlasie, płótnie, drzewie; **wypalanie** na drzewie, gipiurę, włóczkowe roboty, krawaciarstwo, pończosznictwo, wyroby ze skóry oraz introligatorstwo galanteryjne i terrakoty. Na żądanie wysyła się program.

---

UTWORY
# Stanisława Moniuszki
WYDANE STARANIEM SEKCYI IMIENIA MONIUSZKI
przy Warszawskiem Towarzystwie Muzycznem,
***na uczczenie 25-ej rocznicy śmierci mistrza.*** 450-3-4

| | Rs. | k. |
|---|---|---|
| **Sonety Krymskie.** | | |
| Wyciąg fortepianowy do śpiewu z tekstem polskim i niemieckim | 4 | 50 |
| Głosy orkiestrowe | 5 | — |
| Głosy chóralne — słowa polskie i niemieckie | 1 | 95 |
| Głosy chóralne — słowa rossyjskie i włoskie | 2 | 20 |
| Partytura orkiestrowa (w odpisie). | | |
| Układ fortepianowy na 4 ręce | 2 | — |
| **Bajki.** Uwertura na orkiestrę. | | |
| Partytura orkiestrowa | 2 | 25 |
| Głosy orkiestrowe | 5 | — |
| **Stara piosenka** — na solo tenor i chór dwugłosowy żeński z towarzyszeniem fortepianu i głosy | — | 90 |
| **Kochanka hetmańska** — uwertura na fortepian na 4 ręce | 1 | 53 |

**Skład główny w składzie nut Gebethnera i Wolffa w Warszawie.**

---

## SKŁAD MEBLI
## majstrów stolarskich
*Marszałkowska 136, róg Ś-to Krzyzkiej, I-sze piętro.*
Wielki wybór mebli z własnych warsztatów. Tapicernią własna.
668-24-15 Zarządzający ***Julian Goetze.***

---



Magazyn Instrumentów Muzycznych i Strun Włoskich
## J. FEIGENBAUMA
773—12—5
***w Warszawie, ulica Marszałkowska N. 153, róg Królewskiej.***
Specyalna pracownia wszelkich instrumentów muzycznych.